Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 4. Kwietnia 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 14.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ.

IV.

Powiedzieliśmy, iż uważamy to jako jeden z największych błędów popełnianych przez nas w sprawie żydowskiej, iż nawet tym żydom, którzy się korzystnie od wielkiej reszty swych współwyznawców odróżniają i do zawodów dotąd przez żydów nieuprawianych z uczciwym zamiarem rzetelnej pracy garną, iż nawet tym żydom okazujemy pewnego rodzaju uprzedzenia i w tych ich zabiegach robimy im lub pozwalamy robić niejako bierną opozycję. Pójdziemy dalej i ośmielamy się twierdzić, iż naszym *obowiązkiem* właśnie jest popierać takie u żydów dążenia tam, gdzie je znajdujemy, a wzniecać je gdzie ich jeszcze nie ma.

Żydzi tworzą więcej jak szóstą część całej ludności — jest to więc już zastęp, z którym się liczyć należy. Jeżeli nadto prawdą jest, że bardzo ważne, dla całego kraju żywotne gałęzie życia ekonomicznego na szkodę kraju wyłącznie w ich spoczywają ręku, to postępowanie zaradcze, jakie jest naszem zadaniem, samo się narzuca. Trzeba się tylko oczywiście raz na zawsze pozbyć wszelkich awanturniczych projektów, trzeba raz na zawsze wychodzić z przekonania, że wszelkie projekta dążące do wyeliminowania tego rzekomo zgubnego żywiołu czy to drogą gwałtownych przewrotów, czy drogą ustawodawczą, do niczego nie doprowadzą, bo w czasach w których żyjemy, są tak dalece niewykonalnemi, że wywołują tylko uśmiech politowania u ludzi na serjo sprawy publiczne traktujących.*) Dojdziemy więc do rezultatu, że tylko przyczyniając się z naszej strony wytrwale i systematycznie do *zmiany* społeczeństwa żydowskiego, możemy z czasem usunąć szkodliwość jego wpływów.

Cóż więc dzisiaj czynić nam należy?

Jeżeli rzeczywiście w niektórych zawodach żydzi mają szkodliwą dla ogółu przewagę, nie pozostaje nic innego, jak dążyć do tego, aby im na tem polu jak największą robić konkurencję. Musi to jednak być konkurencja racjonalna i trzeba dla niej stworzyć podwaliny w ustroju całego naszego społeczeństwa. Walka ekonomiczna tego rodzaju, jak ją przed kilkoma laty jeden z tutejszych dzienników propagował, może być skutecznym środkiem dla chwilowej agitacji, jako reforma stosunków ekonomicznych jest bezsensem a nawet śmiesznością. Jątrzy ona tylko i wznieca niesnaski, które nigdy nie mogą być pożądane. Towarzystwa zaliczkowe i spożywcze, spółki wzajemnej pomocy, towarzystwa i szkoły przemysłowe i t. p., oto są instytucje, które należycie prowadzone i kierowane, mogą stać się potężnemi czynnikami w zwalczaniu ekonomicznego wpływu żydów. Jeżeli walka ta nie ma jednak być bardzo trudną i przeciwnik nie ma zacięcie bronić swego stanowiska, trzeba mu umożliwić odwrót, trzeba żydom wypartym z dotychczasowych zajęć ułatwić przystęp do takich zawodów, w których ich współzawodnictwo jest mniej niebezpieczne. Niech nikt na to nie odpowiada często powtarzanym komunałem, że żydzi przypuszczeni do jakiegokolwiek zawodu, opanowują go niebawem zupełnie. Codzienne doświadczenie poucza nas, że tak nie jest. Nie wspominamy już o rękodzielnikach żydowskich, o których powszechnie wiadomo, że są po większej części nędzarzami, ale nawet w zawodach t. z. wykształconych, do których żydzi garną się dosyć licznie, nie zajmują oni wcale stanowisk dominujących. Ciekawą jest rzeczą, iż n. p. co do zawodu lekarskiego, który od najdawniejszych czasów był przez żydów bardzo pielęgnowany, odmawiają im teraz pierwszorzędne powagi przeciętnego nawet uzdolnienia,**) a nieszczególne powodzenie materjalne, jakie żydzi przy wykonywaniu zawodów wykształconych mają, jest najlepszym dowodem, że ich konkurencja nie wszędzie jest niebezpieczna. *Dążeniem więc naszem być powinno, aby ludność żydowska na wszystkie stany i zawody w tym samym liczebnym się podzieliła stosunku, jak chrześciańska, a wtedy z pewnością w żadnym zawodzie przewagi mieć nie będzie.*

Jeden rzut oka na dawniejsze nasze stosunki poucza nas, jak dalecy jesteśmy od tego. Żydom w tym względzie zarzutu robić nie można, oni do wszystkich drzwi pukają, do rozmaitych radziby się brać zawodów, ale napotykają prawie zawsze na trudności. Urzęda publiczne od czasów zaprowadzenia formalnego równouprawnienia nie są im wprawdzie wzbronione, ale widzimy, że wstępują oni tylko do takich, w których przynajmniej po części mogą liczyć na sprawiedliwe ocenienie swej pracy i nie są zawiśli od uprzedzeń pojedyńczych osób. W sądownictwie n. p. gdzie niezawisłość od przełożonych jest już dzisiaj rzeczywistością, mamy już kilnastu żydów i odznaczają się oni — jak wiemy, gorliwością i sumiennością w urzędowaniu. Natomiast w urzędach administracyjnych tak rządowych jak i autonomicznych, nie ma z nich dotąd ani jednego. Słyszeliśmy naczelnika jednego z większych urzędów administracyjnych, chełpiącego się głośno z tego, iż dotąd udało mu się ochronić swe bióra od napływu tego „szkodliwego żywiołu". Mąż ten nie wydaje nam się powołanym do rozwiązania tak trudnej kwestji, jaką jest żydowska. Trafiałoby bardziej do naszego przekonania, gdyby się pochwalił tem, iż przyjmując tylu a tylu urzędników wyznania mojżeszowego pod swoje kierownictwo, uczynił z nich pożytecznych obywateli kraju.

Pozbądźmy się więc uprzedzeń i ciasnych poglądów, poświęćmy fałszywie zresztą pojęty interes pojedyńczych zawodów dobru ogólnemu, ułatwiajmy żydom zajmowanie się czynnościami, dotąd im mało znanemi, w których zatem łatwo z nimi współzawodniczyć możemy, a ubędzie ich

*) Jak wniosek posła Istoczego w sejmie węgierskim.

**) Słynny profesor wszechnicy wiedeńskiej, radca dworu, dr. K. Billroth, czyni to w sensacyjnem swem dziele «Ueber das Lehren und Lehrnen der medicinischer Wissenschaften an den Universitäten der deutschen Nation. Wien 1876» — na stronnicy 152, 153. 154. ze szczególnem uwzględnieniem słuchaczów medycyny wyznania mojżeszowego pochodzących z Węgier i Galicji.

w owych zawodach, w których mają i z przyczyn wyłuszczonych mieć będą jeszcze długo przewagę.

Zarzucają powszechnie żydom, iż mają oni szczególną zręczność w usuwaniu się od wspólnych wszystkim obywatelom obowiązków i w ten sposób pośrednio krzywdzą swych współobywateli. Jest to — jeżeli go nie do wszystkich, ale do znacznej części żydów odnosimy — zarzut słuszny i nie kusilibyśmy się bynajmniej o obronę żydów w tym kierunku, gdyby nie jeden argument, który nam się uporczywie nasuwa, a który nie usprawiedliwia ich wprawdzie, ale po części tłumaczy.

Przedewszystkiem bowiem należy pamiętać, że jeżeli słuszną jest zasadą, że równe prawa mają za sobą równe pociągać obowiązki, to zaiste żydzi nie wiele dotąd mieli czasu, aby się do ścisłego wypełniania obowiązków publicznych przyzwyczaić, bo ich „równe prawa" nie zbyt dawną noszą datę. Jeżeli niektórzy badacze kwestji żydowskiej posuwają się tak daleko, iż wołają o równouprawnienie chrześcian z żydami, to przy wszelkiem uznaniu, iż to w najlepszej czynią wierze, musimy ich jednak pomówić o przesadę. Równouprawnienie zaprowadzone ustawą tak długo nie jest równouprawnieniem, jak długo społecznej nie otrzyma sankcji, a o tej, jak wykazaliśmy, nie ma jeszcze u nas mowy.

Merytorycznie rzecz biorąc, rozchodzi się o to, że żydzi w stosunku do swych majątków nie uiszczają podatku na cele państwowe — tak podatku pieniężnego, jak o wiele cięższego, podatku krwi — w należytej wysokości... W znacznej części jest to wynikiem stosunków powyżej już opisanych, i pochodzi ztąd, iż znaczna część żydów ma takie czynności i przedsiębiorstwa, które utrudniają skonstatowanie ich majątku i dochodu, z czego żydzi starają się korzystać. Nie zapominajmy jednak, że przez okoliczności, których rozbierać tu szczegółowo nie chcemy, nikt z nas tych ofiar zresztą nieuniknionych *chętnie* nie ponosi i o ile może stara się od nich uchylić.

Takie konsekwentne i prawie ogólne usuwanie się żydów od obowiązków, byłoby zresztą niemożliwe, gdyby je nie podtrzymywała wadliwa organizacja naszych urzędów i luki w naszem ustawodawstwie. Znaczna część winy spada tu więc na tych, którzy bądź nieudolnością swą, bądź niedbałością lub karygodną pobłażliwością dają do takich nadużyć sposobność. W innych lepiej urządzonych krajach mimo wszelkiej żydom w ostatnich czasach objawianej niechęci — takich zarzutów nie mieliśmy sposobności słyszyć.

Podług Savignego teraźniejsze stulecie nie ma talentu ustawodawczego — nie można się więc tak rychło spodziewać takich zmian, któreby wadę, o której mowa, w zupełności usunęły. I na to złe społeczeństwo może mieć tylko jeden środek, a nim jest, przeszkodzenie temu, aby pojedyńcze zawody pozostawały wyłącznie w ręku żydów. Czy wszyscy żydzi chętniej i gorliwiej spełnią wówczas swe obowiązki w obec ogółu, trudno odgadnąć, w każdym jednak razie, wspólność zawodu z nieżydami doprowadzi do lepszej kontroli a co najmniej do sprawiedliwszego rozkładu ciężarów.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Stary wąsaty mężczyzna w lisiurze, typ u nas bardzo pospolity dawniej, a i dziś jeszcze po wsiach dający się spotykać, siedział na kłodzie w lesie, obok młodego chłopaka.

Stary, był, jakeśmy powiedzieli, pospolitym typem, już i przez malarzy naszych wielokrotnie powtarzanym, zdrowego szlachcica w drugiej wieku połowie, takiego który wypija chętnie kielich wódki, zmiata bigos, może podołać pół kopie jaj na twardo, strzela doskonale i dobrze się zna na koniach. Takie przynajmniej robił wrażenie ów siedzący na kłodzie w lisiurze, długich butach, z borsuczą torbą na plecach, w czapce na bakier pan Stefan Drobisz, onego czasu koniuszy i po troszę łowczy księżnej Sapieżynej, która koni mało co trzymała wówczas w Kodniu, a polowanie odbywała tylko na kapitały szlacheckie w nieustannej będąc potrzebie pieniędzy, które trwoniła.

Gdy ich nie mogła dostać u szlachty, nalegała na króla, i pogniewawszy się formalne nań knowała spiski. Ale to nie należy do rzeczy.

Pan Stefan Drobisz był naówczas w Kodniu niby koniuszym. Sam się dodatkowo kreował Łowczym, a przy niezmiernym rozgardjaszu, jaki panował w dobrach J. Ks. Mości, musiał pełnić w naglących razach, mnogie inne obowiązki.

Sam IMPan Strażnik Koronny, który tu grał pod te czasy wielką rolę, i pan Jenerał Brygady Wielkopolskiej, druga prawa ręka księżnej wojewodzicowej, gdy przybywali do Kodnia, pana Stefana witali acz prostego szlachcica, bez tytułu, bez znaczenia — jak pana brata.

Ale bo też poczciwy Stefan, nawet księżnie i w ogóle nikomu sobie inponować nie dawał.

Miał czyste sumienie, niczyjej łaski nie potrzebował, gdyż życie wiódł skromne i obyczaje miał surowe; więc nie lękał się nikogo, a jak on niegrzecznie powiadał sam, o nikogo nie dbał.

Podśpiewywał nawet czasem znaną piosenkę:

> A jam sobie pan, pan...
> O nikogo nie dbam, dbam.

Rym w tym starym utworze poetyckim zostawuje do życzenia nieco, ale sens moralny,— daj Boże by go każdy mógł wziąć do serca.

Był to w swoim rodzaju filozof, choć o filozofii mętne miał wyobrażenie; zasadzał mądrość na tem, aby jak najmniej potrzebować i przez to być jak najniezależniejszym. Miał w tem Diogenesową metodę, choć o Diogenesie nie wiedział i nie słyszał.

W rzeczach nauki i rozumu admirując wielce ks. Infułata, gdy przy stole mawiał o monarchii assyryjskiej, o Marku Aureliuszu, o Chinach i. t. p. (bo był mąż eruditus)—nigdy pan Stefan nie pozazdrościł mu tych wiadomości, i nie czuł ich potrzeby.

Czuł, że rozumu i wiedzy na swój użytek miał—jak się wyrażał stylem czasu »samoprawie«. Znaczyło to tyle co— »w samą miarę«.

Zawsze w dobrym humorze, do wszelakiego zajęcia żwawego gotów, na posyłkę do lasu, na jarmark, po pieniądze, po sprawunki; nie ulegając prawie zmianom atmosferycznym, na które zupełnie był obojętnym, znosił chłód, głód, smród i brud (są jego wyrazy)—z najzupełniejszą obojętnością.

Spojrzeć było na jego twarz rumianą, śmiejącą się, na oczy niebieskie jasne i wytrzeszczone, na postawę silną i zręczną, mimo pięćdziesięciu i kilku lat, aż się człowiekowi zdrowo robiło.

Kawaler, pan Stefan wolny swój stan nader wysoko cenił i kobietom, które nań oddawna różne zastawiały sidła, a na dworze księżnej było ich siła, pięknych i bystrych!—wywijał się całując rączki, robiąc przysłużki, ale do sakramentu—nie dając się zaciągnąć.

Potrząsał głową — nie teraźniejszych to czasów się żenić! mówił, dobrze było dawniej, dziś—a mnie na co!

Ze był wesół, zabawny, grzeczny, fraucymer księżnej lubił go, a każdej z jejmościanek się zdawało — a nuż? Żadna tego nie dokazała.

Potrzeba było obrony, pomocy, odporu — opieki, — stawał, — po za tem — sługa uniżony!

Lubili go i szacowali wszyscy, bo był jak serca wielkiego, tak bezinteresowności niesłychanej. Trzymał na stajni cztery konie, na które mu dawano obrok książęcy, frymarczył niemi, a że się znał, zarabiał, grosiwo więc miewał, choć pensja ze skarbu, żal się miły Boże, jak dochodziła!! Z tego grosza już by był mógł dojść do nieszpetnego kapitaliku, a był goły, bo co miał to poroztykał.

Za to go też kochano, nie tylko w Kodniu, ale cała szlachta okoliczna, bogatsza i uboższa, ktokolwiek go znał.

Gdzie pan Stefan Drobisz nauczył się fajkę palić, co na owe czasy pospolitem nie było — tego nie wiem, ale palił ją.

Za Sasów u nas, przez naśladowanie Augusta II, który smalił mocno, weszła ona powoli w modę. Palił turka król Stanisław Leszczyński, palił i August III. Rozkoszy tej tytuniowej nie każdy sobie mógł pozwolić, bo innego tytuniu nad turecki i grecki nie znano; ale z Konstantynopolem i prowincjami były przez Kamieniec podolski stosunki i tytuń przywożono, choć dosyć był drogi. P. Stefan na to jedno nie żałował. Palił, rozumie się w domu, porządnie, z długiego cybucha, i obchodził się z całym przyrządem fajkarskim bardzo oględnie.

Smiał się sam ze swojego nałogu, narzekał nań — ale go nie porzucił.

Właśnie w tej chwili na kłodzie siedząc i spoczywając po polowaniu, dobywał średniej wielkości cybucha z bursztynem,

fajkę stambułkę i zabierał się nakładać.

Na tę ważną operację patrzał towarzyszący mu młodzieniec, z pewną ciekawością, bo pan Stefan dokonywał zadania uroczyście i z aplikacją wielką.

Nim koniuszy fajkę nałoży, my mamy czas przypatrzeć się jego towarzyszowi.

Był to, jeśli nie piękny, to bardzo przystojny mężczyzna, samo zdrowie, młodość i siła. Wzrostem dorównywał koniuszemu, tylko cieńszy był i zwinniejszy, bo zapewne trzydziestu lat nie miał.

Ubrany w krótki kożuszek czarny, buty myśliwskie, torebkę miał siatkową, czapeczkę sukienną i nie odznaczał się elegancją. Fuzyjka, która przy nim stała, także nieosobliwie wyglądała. Twarz jednak zasługiwała na baczność. Ani piękna, ani brzydka, rysów niby pospolitych, które się opisać nie dają, w całości swej odznaczała się wyrazem rozumnym i powagą nad wiek.

Tej buty szlacheckiej jaką naówczas piętnowały się wszystkie karmazyny, śladu w nim nie było, raczej smutek jakiś i cicha pokora, która jednak w słabość nie przechodziła. Nie wyzywał, jak inni, ale widać było, że wyzwany by placu dostał.

Niewielkie oczy osadzone dosyć głęboko, miały wyraz taki przenikający, że ich wzrokowi nie każdy dotrzymał.

Twarz okrągła, nie była piękną, słońce i powietrze opaliły ją, płci nie miał świeżej, a mimo to, choć wielu od niego nierównie przystojniejszych na dworze księżnej wojewodzicowej się przesuwało, nikt takich łask nie miał u fraucymeru jak pan Jacek Zadora... Zwali go jedni Zadorą, co jest, jak wiadomo nazwiskiem herbu szlacheckiego, drudzy Zadorskim. Pozwalał się zwać jak chciano.

Nakładanie fajki systematyczne, poprzedziła wódka i wędlina, myśliwi nasi nie głodni, odpoczywali dopóki by reszta towarzyszów ich nie nadciągnęła, a pan Stefan stary gawędził.

Jak zawsze słowom jego towarzyszył uśmieszek dobroduszny, kwiat spokoju, który Drobisz miał w duszy.

— Tak, tak, Jacusiu mój, mówił, jak Bóg miły radę ci daję dobrą. Jesteś nieśmiały — w życiu to wiele szkodzi, obcesowo się trzeba brać i do ludzi i do losu, inaczej zawsze będziesz zepchnięty w ostatnie rzędy.

— Ja też do pierwszych nie aspiruję— odparł Jacek.

— Widzisz, że i ja się nie drapię do góry — mówił Stefan — psu na budę się nie zdały wielkości wszystkie! Dobrze starzy mówili, im kto wyżej siedzi tem mocniej się poci — ale — ale!! — powtórzył — co innego jest dobijać się — dudka na kościele, a co innego sobie wygodne usłać łoże, choć skromne... Ty bo oto trzeci rok u nas, i zawsze przy kancelarji, na niewielkiej pensyjce, jeden konik, gratyfikacja rzadka, a Strażnik ci z pisaniem nie daje wytchnąć. Czas by pomyśleć o jakiej krescytywie...

Jacek oczy spuścił.

— Mnie i z tem dobrze! — rzekł.

— A, no — jak ci dobrze! Żeś szczęśliwy, i dodam, rzadki na prawdę człek! Nas pono dwóch co nie stękamy, choć byśmy wielkie prawo mieli.

Wypuścił kłęb dymu z fajki pan Stefan i dodał:

— No, powiedz-że mi — a o ożenku nie myślisz?

Mrugnął jednem okiem.

Zadorski zżymnął ramionami.

— Śmiesznem by to było — rzekł — nie mam z czem! Pan Koniuszy także nie żeniłeś się i nie żałujesz tego!

— O! jak Bóg miły, nie żałuję, rozśmiał się stary. — Kto teraźniejsze niewiasty poznał, i napatrzył się ich, do sakramentu ochoty mu nabrać trudno! Śliczne one są, a słodkie, a przylepki, a wymustrowane, a elegantki — kochać to by się chciało we wszystkich, ale one na pociechę oczów nie dla serca stworzone. Zdrada chodząca... Litość bierze patrzeć, nie wiedzą nawet co czynią, a, ot, tak,—żadnej wierzyć nie można.

Pan Jacek się uśmiechnął nie zupełnie potwierdzając to zdanie.

— Żebyś pan Koniuszy nie miał za złe to bym stanął i w obronie ich—rzekł.

—W Warszawie i po pańskich dworach, co ich jest to — motylice, a no po wsiach i dworach szlacheckich cale co innego.

Koniuszy pomyśał trochę.

— A może to i prawda — rzekł, ale z taką niewiastą starego autoramentu trzeba też siąść w kącie na zagonie i rzepę skrobać, Boga chwalić i z chałupy się już nie ruszać.

— Nie byłoby w tem nic złego — dodał p. Jacek.

—Hm! co komu do gustu!—odbąknął stary. Milczeli chwilę, aż Drobisz dodał:

— Więc asindziej gdzieś na szlachecki dworek masz oczy — począł — przyznaj się! Nie może to być, aby młody człek w sercu do kobiety coś nie czuł, prawo natury. Ja sam, jak ty mnie widzisz, szalałem, a tylko przez osobliwe miłosierdzie Boże nie ożeniłem się gdym chciał, a potem!! ho! ho! już mnie, gdym do rozumu przyszedł, niczem nie było można zwabić.

— Ja ani o dworku, ani o żadnej kobiecie nie myślę! — rzekł Jacek — słowo panu daję.

— No! no! a Łowczanka?—zapytał Drobisz.

Jacek się zarumienił i żywo ruszył na pniaku.

— Gdzież mnie o niej myśleć! - krzyknął—gdzie!

— Ho! a toż czemu? że nie majętny jesteś? Ta toż nie zbyt wielka pani, choć rodzice zamożni; i — powiadają, że tam łaski masz...

— Powiadają! — zaprotestował jakoś podrażniony Zadorski. Ludziom aby gadać, mnie się o tem nie śniło! Łaski! jakie tam łaski! Ludzie zacni i dobrzy, przyjmują w domu wszystkich gościnnie, więc i mnie, choć chudego pachołka. Z Łowczym w warcaby gram, (rozśmiał się) i tyle wszystkiego.

— No — to i dobrze!—zawołał Koniuszy—byleś z panną też w jaką grę się nie puścił, jeżeli się żenić nie myślisz, jak powiadasz, gra by była niebezpieczna. Basia, to śliczna i rezolutna, ale bodaj żeby na tę Barbarkę w przysłowiu, nie wyrosła! Śmiało patrzy, mówi śmiało, z oczów jej widać, że jej lada co strachu nie napędzi, a jak pokocha — to nie popuści!!

Jacek się słuchając uśmiechał, ale nie wesoło...

Była chwilka milczenia.

— Powiedz-że ty mnie, bom ja się o to ciebie nigdy nie pytał — odezwał się Drobisz — masz ty rodzinę? gdzie zkąd się wiedziesz? Nic nie wiem.

Pytanie to, choć nie dał po sobie widocznie poznać Jacek, zdawało się go mocno mięszać.

Zamilkł patrząc w ziemię.

— Sierota jestem — rzekł po chwili — sierota — rodziny nie mam. Wychowałem się w Bialskiej akademii, gdziem szkoły skończył łaską dobrodziejów...

Gdy to mówił, rumieniec go oblewał i Koniuszy postrzegłszy, że mu zrobił przykrość, zaraz ją chciał naprawić.

— Ale to ci nie ujmuje! bynajmniej — począł. Mało to szlachty ubogiej na ludzi wychodzi! Zadorscy, Zadory — jam to o nich słyszał tu i owdzie, z których-że to jesteś?

Zakłopotanie pana Jacka coraz się stawało większem, odpowiedź dusić się go zdawała.

— A! mój panie Koniuszy—odezwał się jąkając — albo ja tam dobrze wiem o mojej familji — papiery poprzepadały, krewni pomarli, tyle tylko wiem żem Zadora.

— No, to i na tem dosyć — rzekł stary, nie zada ci przecie nikt żeś nie szlachcic, bo to się u nas nie dzieje, aby persekwować biedaków, których już i tak los dotknął! Co tam! co tam! Zadora to i Zadora!

Machnął ręką.

— Ale zkądżeś się wziął na Podlasiu, gdzie o Zadorach nie słychać.

— Mały byłem, gdy mnie tu sierotą zostawiono — odparł p. Jacek. Kiedyś może dojdę i dośledzę lepiej pochodzenia, a dziś — wszakże mi z tem jak bez tego!

— Pewnie! ale gdybyś o Łowczance myślał — dodał Koniuszy.

— Właśnie że mi to nie w głowie — rzekł Jacek.

Wstał z pnia czyszcząc starannie przyrząd fajkarski pan Drobisz.

— Niech to będzie między nami — szepnął — ja ci powiem, ty czy myślisz czy nie o Łowczance, a ludzie gadają, że ona się ma do waszeci!

Oburzył się strzepując rękami Jacek.

— Ale no, trzep ty sobie na to rękami i nogami. Vox populi, coś musi być.

— Ale — przerwał Jacek — gdzie tam!!

— Ale, gadają — ciągnął dalej Koniuszy, ręką wyrazisty ruch czyniąc. — Jeżeli tedy intencji nie masz, pilnuj się, okazji nie dawaj, oczyma nie strzelaj, do Wólki nie jeźdź...

P. Jacek zbliżył się prędko, objął go rękami i całować począł.

— A! kochany mój, drogi panie Stefanie, złote ty serce moje, Bóg zapłać za radę; nie czuję się winnym.

I na zatarcie podejrzenia śmiać się po-

*

czał, śmiać mocno, niby szczerze, a tak, że Koniuszy, co się na ludziach znał i na śmiechu, nieznacznie minę zrobił.

— Tandem — rzekł — my się tu ich nie doczekamy. Masłowski stary swoim zwyczajem zapędził się w ostęp, leśniki musiały się rozleźć; co mamy na nich czekać i darmo na trąbkę piersi zrywać, chodźmy do bryczki i do domu.

Zabrali się oba iść lasem, a że drożyna ciasna była, gęsiego, przodem Koniuszy, zamyślony Jacek za nim. Rozmowa musiała go poruszyć znacznie, bo milczący stąpał, w ziemię patrząc, a coraz to ramionami ruszał i marsa nastawił.

Uszli tak kawałek, gdy Drobisz się odwrócił.

— Najbliższa nam droga do Kodnia pod samemi wrotami Wólki przechodzi. Jeżeli Łowczy w domu, nie unikniemy go. Ma zwyczaj siedzieć na przełazie, a jak kogo zobaczy, nie wykręci mu się. Więc — co to będzie?

Odwrócił się do Jacka.

— Jedźmy dłuższą drogą — rzekł Zadorski.

— Koni szkoda i droga psia — odezwał się Koniuszy. — Zresztą, co u licha, dla wilka nie iść w las? Popędzimy koło wrót i wymkniemy się...

Jacek nie odpowiedział nic.

Wychodzili na skraj lasu, gdzie już i bryczkę widać było. Chłopak zawczasu konie był zaprzągł i stały ze łbami pospuszczanemi, on sam leżał przy nich na trawie.

— Niczypor! wstawaj! — krzyknął Koniuszy — nie widziałeś Masłowskiego albo kogo z myśliwych?

— Nie, ono jednego zajcia! — odparł chłopiec, a słuchający się rozśmieli.

— Do kata, drogę nam przebiegł pewnie — dodał Koniuszy, który już kurka spuszczał i kłak zakładał pod niego, strzelbę pakując do bryczki.

Wieczór robił się chmurny.

— No, jedziemy — rzekł stary — siadaj panie Jacku, i — w drogę! Gdybym się nie wstydził, powiedziałbym, że mi się jeść chce...

Niczypor, wołając na konie: Pru! pru! gramolił się już na koziołek, w chwilę potem bryczka podskakując biegła już po drożynie nad lasem, a Koniuszy z towarzyszem musieli starannie równowagę utrzymywać, aby z niej nie zlecieć.

Niczypor o obowiązkach woźnicy tak miał jeszcze ograniczone pojęcie, iż je zasadzał na popędzaniu i rzucaniu lejcami, co się tyczy wyboru drogi, omijania kolei, głęboko wybitych i wystających korzeni — te uważał za zło nieuniknione.

Co się działo z bryczką i jadącymi, nie obchodziło go wcale, byle pospieszał. Bat nie zchodził z koni.

— Z tego Niczypora — mruknął Koniuszy — dzielny kiedyś furman będzie, ale garnków mu nie można dać wozić, chyba do młyna!

Był to stary koncept na przekorę garncarzy wymyślony, który tak trafnie do woźnicy Drobisz zastosował.

A tu już ową zapowiedzianą Wólkę, którą wraz z Zabłociem trzymał pan Łowczy Koperski, widać było w niewielkiem oddaleniu.

Rada Koniuszego, aby około wrót przelecieć prędko, wyborną była w zasadzie, w wykonaniu zaś przedstawiała tę trudność, iż obok wrót dworu tuż znajdowały się wisznice na pole prowadzące, a koło tych żywej duszy, coby je otworzyła, nie było.

Wisznice zaś przez Łowczego tak zbudowane były, że się proprio motu zamykały, i kto je otwierał dla przejazdu, musiał przy nich stać i trzymać aż je minął... Tym sposobem zapobiegało się otwieraniu wisznic i odwiedzinom dworskich gęsi, które studja robiły w pszenicy...

Bądź co bądź, więc przed wisznicami stanąć musieli, Niczypora zsadzić, jeden lejce wziąć w ręce i zwolna minąć owe zdradne wisznice. A tuż w lewo wznosiły się wrota do dworu, wrota paradne, z daszkiem, z furtą o trzech wschodkach do nich wiodącą, tak aby czworonogie goście ekskursji bez pozwolenia przez nie nie robiły. Na tych wschodkach, niewłaściwie przełazem nazwanych, (gdyż przełaz jest innej budowy, o czem przy okazji powiemy) siadywał Łowczy, gdy na gości polował.

O trzy kroki od niego, pod samym nosem trzeba było przebywać wisznice, tak że gdy chciał, mógł mijającego dwór zatrzymać.

Wszystkie te niebezpieczeństwa położenia podróżni zdala już milcząc obrachowywali. Pan Jacek pierwszy dostrzegł na wschodkach u furtki wysoką, białą, znaną sobie czapkę z kasztanowatym barankiem pana Łowczego.

Był to człek serdeczny! miał tę jedną wadę, że nigdy nic nie robił i bez ludzi żyć nie mógł.

Gdy mu towarzystwa zabrakło, siadał oto w tej bramie na czatach, i chyba ksiądz do chorego spieszył, to go na sucho puścił.

Przyjęcie u niego pańskie nie było; piwo domowe, gorzałka z alembiku jejmości, wino pospolite i nie drogie, ale jadła, także niewybrednego, ogromnie wiele. Proste rzeczy, tłusto, pieprzno, słono — a było co jeść. Łowczy wysoki, kościsty, chudy był aż strach, a jadł tak, że do popisu mógł stawać.

I w domu zaprowadzone było jedzenie nieustające, od rana do nocy. Nie jeść u Łowczego, było to obrazić go śmiertelnie.

Wołano zaraz: Cóż to? nie smakuje?

Dojeżdżali do wrót; Niczypor zeskoczył z kozła, a tuż od wrót rozległo się:

— Stój! stój! Nie puszczę!

(C. d. n.)

STUDJUM

*Komedja »Nieporozumienia« (Comedy of Errers) Szekspira *). Komedja »Menechmi« Plauta. Komedja »Les Menechmes« Regnarda.*

przez

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Komedja „Nieporozumienia“ liczy się do młodocianych płodów Szekspira. Przedmiot onej: *bracia bliźniacy* zupełnie do siebie podobni, nieporozumienia i zawikłania z tego wynikające i kilka głównych scen wzięte są z komedji Rzymianina Plauta, pod tytułem: „Menechmi“.

Ale mimo to, wielkie między temi tworami zachodzą różnice. Szekspir nietylko więcej osób wprowadza na scenę, a niektóre Plauta kreacje innemi zastępuje, ale co ważniejsze: komedję Rzymianina on niejako podwoił, bo dwom braciom bliźniakom, którzy przez podobieństwo swe do siebie dosyć już nieporozumień wywołują, dodał dwoje sług, tak samo braci bliźniaków i do siebie podobnych, co sprawiło, że bałamuctwa i zawikłania w komedji rzymskiej, wzrastają w angielskiej do formalnego wiru i chaosu.

Czyli te zboczenia od źródła swego są własnym Szekspira pomysłem, czyli też, jak jedni twierdzą, drudzy przypuszczają, miał on przed sobą inną jeszcze komedję, i to włoską, którą przerobił, to do dziś dnia nie jest stanowczo wyświeconem, chociaż *Adriana* i *Luciana* w jego tworze są postacie niewieście, jakby żywcem wzięte z komedji włoskich wieku szesnastego; tożsamo ksieni klasztoru, którą on wprowadza, wskazuje na włoskie pochodzenie.

Ale gdyby nawet Szekspir miał drugi wzór przed sobą, zawsze silną dłoń co kieruje tym wirem, rzutność jenjalną, która na tle traicznem, z perspektywą ścięcia głowy, buduje szaloną komedję i tak najsprzeczniejsze żywioły w jedność spaja, Szekspirowi tylko przypisać można.

Z drugiej strony, jeżeli wywołanie wielkiego wrażenia pojedynczymi środkami stanowi cechę artystycznego dzieła, to sąd bezstronny przyzna tu poecie rzymskiemu pierwszeństwo.

Lekko bowiem i naturalnie przeprowadza on zawiłą akcję, zwija i rozwija kłębki intrygi, nie przekraczając nigdy granic komiki; kiedy przeciwnie w komedji Szekspira sytuacje wszystkie tak są naprężone, że traiczne onych rozwiązanie nieledwie że na włosku wisi. Dość porównać sceny u Plauta (w pierwszej i szóstej odsłonie), gdzie oba bliźniacy po kolei uchodzą za warjatów, ze scenami odpowiedniemi u Szekspira (akt czwarty scena trzecia i czwarta), lub scenę ostatnią komedji, która jest inwencją Szekspira i gdzie bliźniacy omal nie są przytomni wykonaniu wyroku śmierci na ich ojcu Egeonie.

Ale i pod estetycznym względem Plautus nie raz na wyższem stoi stanowisku. Wprawdzie nam nie wydaje się bardzo komiczn em, gdy jeden z Menechmów annektuje sobie cudzy płaszcz wraz z obrączką złotą, chociaż Rzymianie inaczej na tę rzecz zapatrywali się. Większą zaś odrazę sprawiają cielesne plagi, które w angielskiej komedji dostają się sługom bliźn iakom, raz od rzeczywistych, raz od mniemanych ich panów, zawsze niewinnie.

Tożsamo chciwa „zalotnica“ jakże nizko

*) Grana na teatrze lwowskim pod tytułem «Komedja pomyłek».

stoi w porównaniu z wzorem jej „Eretruz“, którą Plautus, pomimo że przedmiot tak ślizki, pędzlem mistrzowskim odcieniował; przyczem nie zapomniał nałożyć pokutę na jednego z bliźniaków, co żonaty miał z nią stosunek, bo stało mu się, że żona i zalotnica domy swe przed nim zawarły (akt czwarty scena druga).

Jeszcze wyżej stoi Plautus nad Szekspirem w scenie zetknięcia się nieżonatego bliźniaka z żoną brata swego.

Dla istniejącego między nimi podobieństwa, mniema ona, że to jej mąż. Gdy zaś Menechm kawaler jak najsilniej, nawet namiętnie temu zaprzecza, ona w przekonaniu, że dostał pomięszania zmysłów, woła ojca i lekarza, by przyszli jej w pomoc (odsłona piąta, pierwsza scena).

Inaczej zaś u Szekspira. Tu *Adriana,* żona jednego bliźniaka, zoczywszy drugiego, w dobrej wierze, że to jej mąż, obrzuca go wyrzutami za niewierność jego ku niej i żąda, aby z nią obiadował sam na sam, przytem wyspowiadał się przy drzwiach zamkniętych ze wszystkich wybryków swoich. Mniemany mąż, po długich gniewach i protestach, przystaje nakoniec, rozciekawiony będąc, co z tego wyniknie (akt drugi scena druga).

Gdy zaś para spokojnie biesiaduje, przybywa mąż Adriany i puka do drzwi, aby go wpuszczono. Nietylko słudzy, ale żona nie poznaje go po głosie, zowie go urwiszem i każe mu, by natychmiast wydalił się.

Dromio, sługa jego brata i towarzyszący panu swemu, łży go osłem, lampartem itd. (akt trzeci, pierwsza scena).

Cóżby nastąpiło, gdyby mąż, tem wszystkiem roznamiętniony, wyparł gwałtem wrota domu swego, i zoczył obok żony własny swój kónterfekt. Mógł na ten widok dopuścić się w szale rozlewu krwi lub wpaść w rzeczywiste obłąkanie. Sytuacja zaś naprężona do tego stopnia, nie nadaje się do ram komedji.

Tu miejsce nadmienić, że obie komedje, Plauta i Szekspira, chromią na niepodobieństwo obranego przedmiotu.

Tak Menechm I. i Menechm II. Plauta, jak Antyfolus ze Syrakuzy i Antyfolus z Efezu Szekspira, jest tego świadomym, że ma brata bliźniaka.

Jeden z nich nawet (Menechm drugi u Plauta, a Antyfolus ze Syrakuzy u Szekspira) postanawia odszukać tego brata, i w tym celu wędruje po morzu i lądzie przez lat sześć. A pomimo tylu w oczy bijących nieporozumień i naprężonych sytuacji, i to wszystko w obrębie jednego miasta i kółku kilkunastu osób, żaden z nich nie przychodzi na domysł, że brat jego gdzieś w bliskości znajdować się musi. W komedji *Szekspira* więcej to jeszcze uderza, bo on do dwóch bliźniaków dodał dwóch jeszcze, a ci dwaj słudzy równają się w inteligencji panom swoim; cięgi zaś, które odbierają, powinnyby zaostrzyć ich uwagę.

Jest to też jeden z powodów, że komedje tego rodzaju sprawiają odurzenie i podziw, wywołują często wybuch śmiechu, ale wesołości tam nie ma, przeciwnie zostaje po nich nużące wrażenie. Jeden *Regnard,* Francuz, w komedji swojej *les Ménéchmes* poziomego polotu, ale z wielkim artyzmem przeprowadzonej, umiał ominąć szkopuł powyżej wzmiankowany. Bo też autor unika wszelkich zetknień gwałtownych, coby kolizje wywołać mogły. Obaj bracia jego nie są żonaci. Jeden z nich, przekonany że brat jego umarł lat dwadzieścia temu. Mniemany nieboszczyk przeciwnie wie, że brat żyje, i dowiaduje się o jego przybyciu. I tak akcja naturalnie postępuje wśród niewinnych i wesołych nieporozumień. Ciekawym jest równie jego stosunek do Plauta w porównaniu z Szekspirem.

Wielki Anglik tło, plan i główne sytuacje przyjmuje od *Rzymianina:* daje im tylko szersze rozmiary, porusza raz traiczną strunę, a wszystko oblewa blaskiem swej poezji.

Regnard przeciwnie, w prologu do swej komedji na cześć Plauta pali kadzidła bez miary, mianuje go mistrzem swoim, ale prócz tytułu, który wziął od niego, idzie własną obraną drogą.

Plautus zamyka się w obrębie komedji. Szekspir przeciwnie, porusza strunę traiczną, i to poważnie, w osobie Egeona, ojca bliźniaków, gdy tenże skazany na śmierć, ma już tylko kilka godzin życia. Opowiadanie jego (scena pierwsza pierwszego aktu) cierpień, które przeszedł, w uderzający sposób przypominają strofy słynne Franciszki di Rimini, w „boskiej komedji Dantego“. Ten poemat więc znanym był Szekspirowi.

I tak mówi *Egeon:*

„Najtrudniejsze dajesz mi zadanie, żądając bym opowiedział niewymowną moją niedolę. Ale aby wiedział świat, że nie podłe przestępstwo, ale miłość do swoich prowadzi mnie na zatracenie, opowiem wszystko, o ile żal mi to dozwoli,“

Francesca di Rimini pieśń piąta Dantego Piekło:

„Nie masz większych cierpień, jak wspomnienie dobrych czasów, gdy się jest w niedoli. Ale jeżeli życzysz sobie poznać pierwsze początki miłości naszej, opowiem jako ten co płacze i mówi.“

HONORARJA LITERACKIE WE FRANCJI.

przez

EMILA ZOLĘ.

Często dochodziły uszu moich tego rodzaju skargi: „Duch literacki ginie, merkantylizm ogarnia literaturę, pieniądze zabijają talent“. Przytem też rozchodzą się narzekania na demokrację, która rozpanoszyła się w salonach i akademjach, jakoby kazi język, przemienia pisarza w kupca, sprzedającego swój towar z fabryczną etykietą. Dawno już wybieram się z odpowiedzią na te skargi i wyrzekania i w artykule tym właśnie zajmę się sprawą, jaką mianowicie rolę odgrywają pieniądze we współczesnej literaturze? Przedewszystkiem naturalnie winienem zauważyć, że kierunek literacki XVII. i XVIII. wieku nie ma nic wspólnego z literackim kierunkiem bieżącego stulecia. Pod wpływem umysłowego i społecznego kierunku nastąpił stopniowo w bieżącym wieku zupełny przewrót. Zobaczymy na czem przewrót ten polega?

I.

Przed niedawnym czasem odczytywałem krytyczne studja Sainte Beuv'ea, ów nieskończony szereg tomów, które odzwierciedlają całą istotę krytyka. Przy czytaniu dzieł tych uderzyły mnie znaczne zmiany, jakie zaszły w naszym literackim kierunku. Sainte Beuve, ów giętki i rozległy umysł, zupełnie zdolny do ocenienia nowszych prac, zachował jednak gorący pociąg do utworów przeszłości i z zapałem bronił starożytnych i nowoczesnych klasyków. Owa tęsknota za ubiegłymi wiekami, zwłaszcza za XVII, objawia się u niego zawsze w ten lub' inny sposób. Sainte Beuve nie powstawał bynajmniej na obecną epokę, a nawet chełpił się tem, że zna i rozumie wszystkie jego prace; nie zdołał jednak zapanować nad swym temperamentem, oglądał się wciąż za przeszłością i rozkoszował się wspomnieniami klasyka i uczonego. Sainte-Beuve przyszedł na świat o dwieście lat zapóźno. Czytając go wybornie odczuwam wspaniałość literackiego kierunku starej Francji. Sainte-Beuve był jednym z ostatnich pisarzy, którzy odczuwali i opłakiwali ów stary, rozpadający się świat. W chwilach takich uczucia jego tem silniej się rozbudzały, że stał na granicy dzielącej ubiegłą od nowopowstającej epoki, będąc bardziej istotą działającą niż sądzącą. Szczere zwierzenia wypływają na wierzch w chwilach trwogi, śród żalów osobistej rozpaczy.

Oto jakie pojęcie wyrobił sobie o pisarzu Saint-Beuve, zwracając się myślą ku przeszłości, o której marzył. Pisarz to uczony, potrzebujący przedewszystkiem chwili swobodnej. Żyje on śród bibliotecznej ciszy, zdala od ulicznego gwaru, w miłem towarzystwie muz. Udziałem jego — bezustanne rozkoszowanie się i uszlachetnianie uczucia, bawienie umysłu, kołysanie całego naszego jestestwa. W ten sposób literatura służyć ma do uprzyjemnienia chwil wyborowego towarzystwa, stając się udziałem nielicznego koła ludzi. Rzecz naturalna, że tu mowy być nie może o trudzącej pracy, o bezsennych nocach i gorączkowej robocie — tu nic nie przyspiesza oddechu utwory piszą się w chwilach ulubionych, w chwilach wewnętrznego zadowolenia. Tylko porządni ludzie mogli pisać śród takich warunków, to jest ludzie zamożni lub pobierający pensję, ludzie, których bogowie obdarzyli swobodnym czasem. Pisarz nigdy nie pracował na życie — pisał niby ptak śpiewający dla zadowolenia swego i innych. Nie płacono mu, jak nie płacimy słowikowi. Karmiono go raczej. Wszyscy dowodzą, że pieniądz to rzecz gruba i poniżająca godność literatury. Nie było też przykładu, żeby ktoś dorobił się majątku na literaturze i nic w tem zresztą dziwnego; sami pisarze okrywali się draperją ubóstwa i żyli z łaski magnatów. Byli dostarczycielami rozrywki, przyjemności i w ogóle pierwiastków wychodzących z zakresu pospolitego życia, nieistniejącego w handlu; tylko wielcy tego świata mogli pozwolić sobie tej rozkoszy, podobnie jak błaznów i arlekinów.

Pisarz taki bynajmniej nie przypomina uczonego, namiętnie doszukiwającego się prawdy i dopatrującego szczęścia w odkryciach. Pisarz był przedewszystkiem wirtuozem ćwiczącym się w retoryce swojego czasu; najbardziej nawet wykształceni i myślący zastanawiali się nad człowiekiem abstrakcyjnym, metafizycznym. Jednym z największych jego przyjemności jest naśladowanie starożytnych, idealne przebywanie w mniej lub więcej ciasnem towarzystwie Greków lub Rzymian. Warto przyjrzeć się ówczesnemu pisarzowi we własnym jego gabinecie — otoczonego książkami, z przejęciem odczytującego podania ludowe, zajętego głównie kreśleniem warjacji na dawno znane tematy. Obchodzi on się z litera-

turą jakby ze światową damą, zawsze pełen komplimentów i upatrujący świetność swego rzemiosła w najbardziej utoczonych grzecznostkach. Jednem słowem, pisarz ów zajmował się sztuką oderwaną, wdzięcznemi, retorycznemi igraszkami, umiejętnem dobieraniem wyrazów, literackim rysunkiem charakterów, uczuć i namiętności, niezerpanych bynajmniej z fizjologicznej rzeczywistości, a zręcznie wplecionych do tragicznych lub krasomówczych tyrad. Głęboka przepaść dzieli uczonego, który bada, od pisarza, który opisuje. Ten ostatni trzyma się ściśle filozoficznego i religijnego dogmatu, obracając się w kole abstrakcji. W podobnych razach literatura staje się dokładnie zamkniętem terytorjum, kierunek literacki pozyskuje nader ciasne znaczenie. Literatura zamienia się w pewnego rodzaju ogród, gdzie dla każdego rodzaju kwiatów przeznaczony osobny kłąbik — tulipany kwitną po jednej, róże po drugiej stronie.

W owych czasach kierunki wyrabiały się w salonach. Książki były drogie i w nieznacznej liczbie się rozchodziły; ogół wcale nie czytał, mieszczaństwo prawie nie czytało, namiętność do lektury, ogarniająca obecnie społeczeństwo była wówczas nieznaną. Do wyjątków należał namiętny czytelnik książek, pożerający wszystko, co się pojawiło w wystawie księgarni

W ten więc sposób literatura pozbawioną była publiczności i tego co nazywamy opinią publiczną. Tylko salony, nieliczne koła wybranych osób mogły wydawać wyrok ostateczny. Salony te w samej rzeczy panowały nad literaturą. One to kierowały prawami języka, wyznaczały tematy do prac literackich i określały charakter formy. One to nagradzały, sądziły, tworzyły prawidła, mody, wydawały wielkich ludzi. Ztąd też wyrobił się charakter literatury wyżej wspomniany: stanowiła ona umysłową ornamentację, przyjemny wczas, szlachetniejszą rozrywkę dla ludzi dobrego tonu. Wyobraźcie sobie podobny salon dyktujący prawa literaturze. Jakaś dama otaczała się pisarzami, którym chodziło o to jedynie, aby się jej przypodobać; tu, w małem kółku, odczytywano nowe prace, toczono długie rozprawy z uwzględnieniem wszelkich światowych form i prawideł. Geniusz, wedle dzisiejszego pojmowania rzeczy, pełen nieograniczonej mocy, nie utrzymałby się w podobnem otoczeniu, lecz natomiast talent średni pięknie rozkwitał w tej cieplarni.

Zwyczaje te wytworzyły odpowiedni zastęp właściwości przyjemnych: takt, poczucie miary, spokój olimpijski, górnolotność stylu — prócz tego wszystkie przymioty, które dostrzedz łatwo w kole wykształconych i eleganckich dam; gładkość i wytworność myśli i uczuć, pełne delikatności rozprawy o drobnostkach, gawędy przy kominkach, podobne do muzykalnych arji, wesołe lub smutne. Takim to był kierunek literacki owych czasów.

Salony prowadziły do akademickich podwoi. Tu świetnie rozkwitała retoryka. Literatura, oswobodziwszy się ze światowych żywiołów, zamieniała się w akademii w gramatykę i retorykę, pogrążała się w kwestjach tradycji, prawideł i przepisów. Warto posłyszeć jak Sainte-Beuve, ów umysł swobody, wyraża się o akademji, z powagą i niezadowoleniem gorliwego urzędnika, udającego się do kancelarji, gdzie objawia nieukontentowanie z zachowania się swych podwładnych. Pisarzom podobały się te spory o słówka i owe walki, toczone w imię starożytnych wyroczni. Wtedy akademicy puszczali w ruch całą swą łacińską i grecką uczoność, raczyli się wzajemnie pedantyzmem; wszystko to urozmaicała zawiść, drobne utarczki i błahe zwycięztwa. W ciągu dwóchset lat politycy, którzy władzę utracili, żółwi poeci, odurzeni kadzidłami pochwał, zgłoskojady znajdywali w akademji ulgę, cieszyli się rzekomą sławą, spierali się o wyrazy, gwałtownie bronili swych zasług, pozostając zupełnie nieznanemi ogółowi publicznemu.

Gdyby istniała poufnie skreślona historja naszej akademji wraz z prywatnemi listami akademików — mielibyśmy najkomiczniejszą epopeję o kole ludzi zarażonych dziecinną dumą i zajmujących się nieprawdopodobnemi niedorzecznościami. Literacki kierunek, zamknięty w tej arce przymierza, skupiał się w tej masie przesądów, z których my dzisiaj żartujemy. Warto zaprawdę przeczytać Sainte-Beuve'a, który skreślił wyborne uwagi i odrysował stanowisko pisarzy w ostatnich salonach z początków naszego wieku. On sam widocznie dumny był z tego, że go przyjmowali magnaci. Korzy się też przed nimi, uważając ich za wyższe istoty. Uznaje on społeczną hierarchię, z której sam się rozśmieje i skrytykuje z filozoficznego stanowiska, gdy wyjdzie na ulicę. Lecz w gronie dam, obok wczorajszego lub dzisiejszego ministra, poczytuje sobie za obowiązek ukorzyć się. Jest to pozostałość dworskiego pochlebstwa, słabość do grzeczności i szczęśliwej harmonii panujących w dobrych towarzystwach. Zapomina o narodzie całym, któremu dłużnym jest swój talent i sławę.

Wyraźmy się krótko — kierunek literacki ubiegłych wieków zamyka się w pojęciu literackiem, któremu zupełnie obcą była idea poważnej pracy. Była to sztuka, której filozoficzną osnową — pojęcie duszy doskonalszej od ciała i panującej nad niem, a opierając się na tem niezaprzeczonym dogmacie, zajmuje się w utworach wyłącznie kwestjami dotyczącemi gramatyki i retoryki. W ten sposób kierunek literacki w salonach i akademiach wpływał na kształtowanie języka, wytworzenie się wymuskanego piśmiennictwa; tłumaczył on w pięknych wyrazach znaczenie charakterów i uczuć, jak je pojmowała ówczesna metafizyka. Człowiek i przyroda były abstrakcjami; pisarze nie usiłowali bynajmniej mówić prawdy o rzeczach i ludziach, ale raczej starali się przedstawić ich wedle z góry ułożonego szablonu. Nikt nie zastanawiał się nad jednostką, ani nawet komiczni poeci, tworzący wyborne dzieła w znaczeniu ogólnych obserwacji. Poznawanie szczegółowych faktów, anatomia prywatnych wypadków, zbieranie i klasyfikacja wydarzeń jeszcze były nieznane. Chodziło wówczas tylko o to, aby dostarczyć rozrywkę wyborowemu towarzystwu takiemi utworami, w którychby *towarzystwo* to poznało swój język, blask, sztukę wyrażania się półsłówkami, delikatnemi omówieniami — jednem słowem, całe swoje życie, składające się z półzwierzeń i komplimentów.

Zapewne, że podobny kierunek piśmienniczy zrodził piękne utwory. Nie wyrokuję, tylko konstatuję fakta.

Cała nasza wielka narodowa literatura XVIII. a szczególniej XVII. wieku była owocem owego przymierza pisarza z wyższem towarzystwem, dla którego pisali. Salony i akademja — oto niwa, na której wyrastały wzorowe utwory naszej klasycznej literatury. Tym to instytucjom zawdzięczają istność swoją i uroczyste patos tragedje Rasyna, piękne mowy Bossueta, logika i genialny zdrowy rozsądek Boileau. Sława nasza ogranicza się na utworach, gdyż nowe czasy zaledwie się rozpoczynały, a należało czekać dopóki duch nowy z epoki romantycznego buntu nie zerwie się do pełnego i szerokiego lotu. Nie mam bynajmniej zamiaru zaprzeczać przeszłości — przeciwnie pragnę ją określić i pokazać, że ona rzeczywiście już przeszła i że francuska literatura wstąpiła w zupełnie nowy perjod, który też domaga się jasnego określenia, aby nie karmić się bezpotrzebnemi skargami i śmiało podążyć w przyszłość.

Dawniejszy kierunek literacki określiliśmy — przejdźmy obecnie do faktów dziejowych.

KORESPONDENCJE.

Kraków d. 24 marca 1880.

Ilekroć razy rzucę okiem na nowoodbudowane Sukiennice, tyle razy nasuwa mi się porównanie między tym odwiecznym, na nowo ufryzowanym gmachem, a ogólnym charakterem miasta. Sukiennice stają się w samej rzeczy, powoli, ogniskiem całego ruchu krakowskiego. Jak w Krakowie całym, tak i tu fundamenta są mocne, zdrowe i zdołają przetrwać jeszcze wieki. Po nad niemi zaś niewyraźna mięszanina filarów, zakrętów, okien, galeryjek w najrozmaitszej postaci i mięszanym stylu. Najbardziej uderzająca jest owa staranność w odnawianiu starych cząstek, w ich podtrzymywaniu bez względu na to, czy są ładne czy nie, a z drugiej strony formalne burzenie tego co było, jak np. w dolnych galerjach Czyż to nie jest podobnem do charakteru ogólnego miasta? Na jednym ze szczytów unosi się indyk, z szyją ku błękitom wysuniętą, wspierający się na humorystycznej maszkarze. Co ma ten ornament symbolizować, tego domyślić się nie mogłem.

Dolne apartamenty Sukiennic zaczynają się szybko zaludniać. Sklepy otwierają się jedne po drugich i niedługo oba szeregi będą całkowicie zajęte. Najwięcej ruchu w nowootworzonej filji kawiarni Rehmana, urządzonej na wspólkę z cukiernią pana Hendricha, znanego we Lwowie. Rehmana zakład jest istotnie w Krakowie punktem zejścia się wszystkich. Chcąc odszukać znajomego, udaje się tam przedewszystkiem. Najoryginalniejszą stroną nowej kawiarni jest wielki taras odkryty, na dachu pierwszego piętra, z którego przepyszny widok na Grodzką ulicę i na ten bok rynku, na którym się znajduje kościół Marjacki.

Wystawa dzieł sztuki, otwarta w czasie jubileuszu Kraszewskiego, jest prawdziwie wspaniałą co do swego urządzenia i muzeum narodowe, które tu będzie miało siedzibę, nie znalazłoby miejsca godniejszego. Na wystawie sztuk pięknych nie ma teraz wiele nowych obrazów. Większość opisywaną już była w dawniejszych korespondencjach „Tygodnia". Z nowych talentów najwięcej zwraca na siebie uwagi Sta Cecylja Krudowskiego, Krakowianina, który teraz jeszcze, o ile mi wiadomo, uzupełnia studja swoje w Rzymie. Jest to pierwszy polski religijny obraz, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Znać w artyście szlachetną duszę i zamiłowanie do prawdziwego piękna. Przed obrazem Stej Cecylji, staje się jak przed czemś rokującem w przyszłości wielkie rzeczy. Nasi młodzi malarze uganiający się tak

często za ekscentrycznością, za orgjami barw, o niepewnym rysunku, rażąco odbijają od tego skromnego artysty, któremu widocznie o zbytnie efekty nie chodzi. Nie twierdzę, że obraz to skończony, powtarzam tylko, że rokuje on świetną przyszłość artyście. Zarzucićby bardzo tam wiele można było, a w szczególności zbyt widoczną chęć naśladowania niewolniczego starych obrazów co do kolorytu, tak, jakby artysta był przekonanym, że laury na obrazach Tycyana były w epoce ich tworzenia takimi, jak są obecnie, po wiekowym wpływie światła, ciepła i powietrza. Obok św. Cecylji p. Krudowskiego zawieszonym jest obraz p. Pruszkowskiego, przedstawiający scenę z legendy o Madeju. Jakiż to kontrast uderzający. Madej, starzec. leżący (lub według podania klęczący) na ziemi, obrośnięty mchem i chwastami, pod jabłonią, która wyrosła z jego zbójeckiej maczugi, spowiada się siwowłosemu biskupowi, a grzechy jego ulatują w postaci białych gołębic, w które się jabłka przemieniają. W obrazie dziwna mięszanina kolorów, a w całej postaci starca realizm rażący nieco nasze nerwy. Wyschłe członki nagiego Madeja mają bardzo przykre kształty, a mech zieleniejący na skórze, jak na starych wodotryskach przyczynia się do tego nie mało. Broda z pajęczyną tak się splątała, że nie wiedzieć gdzie jedna się kończy a druga zaczyna. Postać biskupa słuchającego spowiedzi, jest lepszą bez porównania, chociaż i tu, szczególniej w zbytku białości na twarzy, jest przesada. Lecz pomimo tych usterek znać artystę władającego pędzlem, i umiejącego twory swej fantazji rozbujałej przenosić na płótno. Znać, że pędzel słuchać go umie.

Bardzo sympatycznym jest obraz Maleckiego „Przed przeprawą“. Mgła zakrywa całkowicie tylne plany tak, że przez nią zaledwie przebija zwierciadło wód, przez które zgromadzona kawalerja ma się przeprawić. Oddział na pół przykryty mgłą robi efekt złudzający. W ogóle jest wiele poezji w tym obrazie. Abrahamowicza „Posłaniec“ jest bardzo miłym i sumiennie wykończonym obrazkiem.

Z rzeźby wszystkie dzieła są już oddawna znane. Na tem polu nic przybyło nic nowego. Jak zawsze, Samson Tadeusza Błotnickiego najwięcej zwraca uwagi.

Wspomnieliśmy już, że sale górne Sukiennic mają być oddane na Muzeum narodowe, do którego inicjatywę dał Siemiradzki. Otóż, o ile mi wiadomo w tej mierze, nic się prawie dotąd nie zrobiło i, jak zwykle u nas, spór się toczy o nazwę. Jedni nie chcą dać mu miano „narodowego“ z bardzo rozmaitych powodów, inni żądają nazwy „Muzeum Siemiradzkiego“, inni w miejce zakładu ogólno polskiego, życzyliby mieć sobie instytucję czysto krakowską i spory o te sprawy toczą się do tej pory. Pierwszą rzeczą jest nadanie nazwy, a reszta, jak się zdaje, dość mało obchodzi.

Ze spraw politycznych najbardziej jeszcze dotychczas obchodzi wszystkich klęska obozu Stańczykowskiego przy wyborze w okręgu krakowsko-wielicko-chrzanowskim. Do tej pory opowiadają sobie najrozmaitsze o tej sprawie anekdoty. Ksiądz Stojałowski ze Lwowa urósł niemal na postać mistyczną agitatora w sutannie. Przechodził on też tutaj koleje Gil-Blasa. Owe aresztowanie jego wspólnie z p. Chełmeckim najrozmaiciej jest komentowanem. W każdym razie przyznać trzeba, że zwycięstwo przeciwników pana Koźmiana było niespodziewanie *éclatant*. Nie pomogły niezwykłe zabiegi ze strony tak potężnych w tych okolicach ludzi, jak Artura hr. Potockiego i Pawła Popiela, którzy osobiście między chłopami agitowali. Pozycja Stańczyków wskutek tego jest bardzo fałszywą. Sprawa kandydatury pana Machalskiego z miasta Krakowa była już prawie klęską, jubileusz Kraszewskiego zmusił do zwrotu a ostatnie wybory przyczyniły się nie mało do zbliżenia katastrofy.

Proces tak zwany socjalistów zbliża się ku końcowi. Budzi on wielkie zajęcie u publiczności, która licznie zapełnia salę sądową. Sprawa teraz tak się zawikłała, że już trudno nawet jest śledzić za jej tokiem. Jutro ma być dokończenie dowodowego postępowania i nastąpi przerwa, która trwać będzie aż do 6-go kwietnia.

Od paru lat istniejący instytut przemysłowy krakowski nie nabrał jeszcze dosyć siły do rozwoju. Liczba słuchaczy jest stosunkowo bardzo małą i to najwięcej z nich uczęszcza przeważnie na wydział chemiczny. Nie wiemy jakie będą dalsze losy tej szkoły, widzi nam się tylko, że znaczne reformy są tam rzeczą konieczną. Amfibijny charakter szkoły tej, winien według naszego zdania, być usuniętym. Dotąd nie jest on ani wyższym zakładem naukowym, ani też średnim. W obec jednej istniejącej już u was we Lwowie Szkoły Politechnicznej, podającej techniczne nauki w formie najwyższej, istnienie drugiej szkoły czysto prawie praktycznej, byłoby bardzo pożądanem.

M.

STACJA ZOOLOGICZNA W NEAPOLU

podług

KAROLA VOGTA.

Stacja założona jest przez dra Antoniego Dohrna, głównie w celu naukowym, a mianowicie, ażeby dostarczyć naturalistom, zamierzającym robić badania na morzu, materjał do tychże. Założenie stacji było koniecznością ze stanowiska naukowego i od tego czasu wiele już podobnych urządzono zakładów nie tylko we właściwych punktach brzegu Europy, ale i Ameryki północnej. Neapol jest miejscem dla stacji zoologicznej nader odpowiedniem, już to z powodu wielkiej liczby gatunków zwierząt morskich w morzu Śródziemnem znajdujących się, już z powodu wielkości miasta, które będąc przytem przez wielu cudzoziemców zwiedzane, rokuje znaczne zyski z akwarjum.

Dr. Dohrn włożył w to przedsiębiorstwo cały swój kapitał, wynoszący około 90.000 talarów, do których jeszcze corocznie dość znaczne dokładał kwoty; dotychczas zaś ani procentów z kapitału wyłożonego, ani najmniejszej zapłaty za poniesione trudy nie otrzymał.

Akwarjum zawiera wszystkie w zatoce żyjące zwierzęta, nie wyłączając takich, które niewoli nie znoszą; że zaś zatoka posiada najróżnorodniejsze okazy zoologiczne, przedstawia więc akwarjum obfity materjał do studjów i nader urozmaicone widoki; spostrzegamy tu mnóstwo żywych korali, gąbek, medyz i t. d. Pokarm zwierzęta te mają zawsze świeży i w wystarczającej ilości, gdyż woda ciągle napompowywa się z morza.

Cały parter budynku zajmują akwarja, upiększające trzy ściany szerokiego sklepienia i tworzące jeszcze rzędy we środku. Pompa wprowadzona w ruch przez maszynę parową, dostarcza wody do wszystkich akwarjów.

W górnej części gmachu znajdują się akwarja, specjalnie do badań naukowych przeznaczone, jakoteż odbywają się prace naukowe.

Dr. Dohrn odnajmuje na cały rok rządom, zakładom naukowym i t. p. (tylko nie osobom prywatnym) „stoły.“ Wynajmujący „stół“ płaci 500 talarów rocznie, i utrzymuje prawo przysłania kogokolwiek do Neapolu, ażeby z owego stołu korzystał. Z wyjątkiem narzędzi optycznych badacz otrzymuje wszystko, cokolwiek jest do badania potrzebne: żywy materjał, odczynniki, naczynia i t. p., oraz ma do rozporządzenia kilka mniejszych akwarjów. — Na żądanie mogą dostarczać zwierząt rybacy! Obecnie 20 stołów jest zajętych przez rządy: włoski, pruski, rosyjski, badeński, belgijski i inne. Liczba ta mogłaby być jeszcze znacznie zwiększoną, miejsca bowiem dość jest dużo. Ze stacji zaś w ogólności korzysta obecnie przeszło stu badaczy; dla dostarczenia materjału do badań służą dwa statki żaglowe, dwa sterowe i jeden parowy.

Nowsza technika do robienia preparatów mikroskopijnych poczyniła olbrzymie postępy; wyćwiczeni robotnicy jak najzręczniej robią skrawki, farbują, pokrywają i oprawiają preparaty.

W Neapolu istnieje dość wielka bibljoteka dzieł biologicznych, rzecz niezbędna w tego rodzaju stacjach; zdarza się bowiem często, dostrzegać rzeczy i pracować mozolnie nad tem, co już dawniej spostrzeganem i opisywanem było. Wychodzi też w Neapolu dziennik p. t: *Wiadomości ze stacji zoologicznej w Neapolu.*

Dyrektor dr. Dohrn, jak to już wyżej powiedzieliśmy, pracuje z całem poświęceniem się dla dobra zakładu. — Wydziałem naukowym zarządza dr. Eisig, który przytem często zastępuje dyrektora podczas jego wycieczek, on też zarządza pracownią naukową i prowadzi rachunki. P. Schmidtlein zarządza akwarjami i wycieczkami rybaków, notuje przychód i rozchód zwierząt i prowadzi dziennik obserwacyj biologicznych. Dr. Paweł Mejer zajmuje się rozmieszczaniem zwierząt i udziela wskazówek badaczom, Kand. Müller trudni się konserwowaniem zwierząt i po mistrzowsku zadanie swoje spełnia. Dr. Fritz Majer robi preperata mikroskopijne; ma on kilku pomocników. Dr. Lang jest bibljotekarzem i rysownikiem. Dr. Berthold jest botanikiem stacji (Morze Śródziemne, jak to się niedawno pokazało, nie mniej jest w rośliny jak w zwierzęta obfite.)

Wydziałem technicznym zarządza p. Petersen, zwierzchnikiem zaś rybaków jest młody Sycylijczyk, Salvatore. Wydziały te składają następujące osoby: pięciu maszynistów i palacz, stróż, posłaniec, woźny przy akwarjum, dziewięciu marynarzy, pięciu chłopców rybackich, dwóch mularzy, stróż nocny i dwie kobiety przy kasie. — Wszyscy ci ludzie są przez cały dzień zajęci.

W ogólności stacja zoologiczna przedstawia wielki zakład naukowy na bardzo rozumnych oparty podstawach i nie mniej rozumnie kierowany.

J. P.

NAUKI CENTAURA.

URYWEK

Z »LA CRÉATION« E. QUINETA.

Hezjod napisał był poemat, którego tytuł świadczy o jego wielkości: „Nauki centaura“. Dzieło to zaginęło i nietylko poeci winni go żałować. Jakie to tajemnice przyrody mógł nam powierzyć ów dziwaczny twór, zwierze ciałem a głową półbożek. Długo żywiłem myśl, by ideami naszego wieku odbudować ten zniszczony pomnik. Poprzestanę wszakże na przytoczeniu następującego urywka z tej mojej próby. Starałem się w nim odmalować wrażenia, jakie sprawiłby istocie nieśmiertelnej widok niespodziewanego zjawiania się jestestw organicznych,

„Kiedy centaur Chyron rozstawał się z wychowankiem swoim Achillesem, zaprowadził go w najodleglejsze miejsce swego dziedzictwa. Nie było tam nic oprócz spruchniałych od starości drzew, walących się na siebie, a z pomiędzy skalistych, omszonych brył sterczały ku niebu szczerbate gór wierzchołki. Strumień huczący w dali umilkł nagle, by słuchać mowy najmędrszego ze stworzeń.

Wtedy zatrzymał się stary centaur i rzekł do młodego Achillesa: Nauczyłem cię, mój synu, żywić się szpikiem lwa i władać łukiem a strzałą. Ale zapamiętaj, coć powiem. Nikt nie mógłby nauczyć cię tego, co mi jeszcze wyjawić ci zostaje. Jest to ostatnie słowo mądrości Chyrona. Słuchaj mnie, a niebawem przestaniesz pytać, czemu mi cięży moja nieśmiertelność.

Zkąd pochodzą żyjące stworzenia, które zamieszkują ziemię? Z jak głębokiej wyszły jaskini? wiesz ty to? — Ja wyprzedziłem je na świecie i szukałem tajemnicy ich urodzenia w czasach, kiedy nikt prócz mnie nie patrzył na chaos.

Przez mirjady wieków ocean jedynym był mi towarzyszem. Wydeptałem mojemi czterma nogami jego puste wybrzeża, szukając w dali, czy nurty jego nie przyniosą mi jakiej żyjącej, do mnie podobnej istoty, któraby położyła koniec mojej wiecznej samotności. Lecz fale mi nie przyniosły, prócz muszli, burzą na brzeg wyrzuconej. Podniosłem kilka z tych muszli ślimaczych, pytałem, przykładałem do ucha, ale nie słyszałem nic, prócz burzy, która huczała w ich niemych zwojach.

Uczułem się znużonym i usnąłem na skale. Zbudziłem się — oceanu nie było. Szukałem, wołałem na próżno. Gdzie się podział? — znikł.

Na jego miejscu wznosił się na skale las czarnych jodeł, który niepokojem napawał mi serce. Te potworne drzewa wyciągały swe nieruchome ramiona i drżały niby groźbą.

I ja drżałem, jak one, gdyż widziałem je po raz pierwszy. Odważyłem się jednak zbliżyć i powierzyć ich cieniom, a wlały one we mnie spokój, jakiego przedtem nie znałem. Wołałem do nich: zkąd przychodzicie? jaka siła potrząsa wami przy najlżejszym powiewie?

Ale głos mój gubił się w szeleście drzew.

Przebiegłem ziemię naokoło, lecz nie spotkałem nikogo. Wszakże jednego dnia, błądząc wśród cieniów, których nie przebiło jeszcze światło dzienne, znalazłem ślady stóp na wilgotnej ziemi. Serce mi zadrżało z radości. Ale wkrótce spostrzegłem, że były to moje własne stopy. Wieczny tułacz, goniący za jakiemkolwiek odkryciem, nie dziw się, jeżeli często wracałem na ścieżkę, którą sobie sam utorowałem.

Kiedy nadszedł wieczór, spotkałem gromadę ogromnych płazów pancernych, snujących się nad brzegiem bagna. Widząc mnie, rozdziawiły swoje szerokie paszczęki. Niektóre z nich miały błoniaste skrzydła i bijąc niemi po wodzie, wzleciały i puściły się za mną.

Już słyszałem za sobą ciężki chrzęst skrzydeł i w pędzie uciekałem. Odgłos moich czterech kopyt na skale przestraszył je. Spadły napowrót w szare błota, lotem ukośnym nietoperza.

Wyjąłem z kołczana jedną z moich boskich strzał, a była to pierwsza, którą łuk mój zaświstał. Od tej chwili nauczyły się płazy znać mnie. Obwołały mnie królem, lecz ja wzgardziłem panowaniem nad niemi. Więc prosiły mnie, bym był ich bogiem i czcić mnie poczęły. Znowu wzgardziłem ich poziomemi hołdy.

Jedna rzecz mnie niepokoiła, chciałem wiedzieć, zkąd się wzięły. Znałem bowiem dosyć ziemię, by być pewnym, że nie było ich tu pierwej. Teraz z najmniejszego bagna rozlegało się ich skrzeczenie. Postanowiłem tedy wyśledzić powstawanie tych stworzeń, by mnie już nie dziwiło zjawisko żadnej nowej istoty,

Stojąc na szczycie góry, lub leżąc wśród paproci, która wtedy była nadzwyczajnie wysoka i całego mnie nakrywała, wsłuchiwałem się w najlżejszy szelest, któryby mógł zdradzić przyjście nowej jakiej istoty na świat potworów. Miałem bowiem przeczucie, że świat ten jeszcze nieskończony i że niedługo zjawią się nowi jego mieszkańce.

Lata, wieki minęły i nie przemogły mnie. Stada tylko stworzeń, których byłem pasterzem, znikały mi tajemniczo, jedno za drugiem. Miejsce ich zajęli następcy, nie mający z niemi nic prawie wspólnego. Cokolwiek bądź czyniłem, nie byłem w stanie wyśledzić chwili, w której dokonała się ta zmiana.

Pewnego dnia spostrzegłem, że płazy nie były już te same, że straciły swe skrzydła. Co więcej, gdzie wczoraj były pełzające stworzenia, tam spotkałem nazajutrz istoty, stojące jak ja, na nogach.

Jak ja, miały one dyszące boki i pierś jak ja, szeroką, w której bez wątpienia boskie mieszkały myśli. Wiele z nich uzbroiło się jeszcze w ostre szpony, gęste grzywy, ogromne trąby i świeżo ostrzone zęby.

Zbliżyłem się do nich i zapytałem, zkąd wzięły tę nową zupełnie broń i czy należą do mojej rodziny. Odpowiedziały mi głuchym rykiem i rzuciły się na mnie, by mnie pożreć. Zaledwie zdołałem ujść przed wściekłemi.

Kiedy wróciłem do mojej jaskini, ciekawość z każdym dniem coraz więcej mnie bodła. Wyobrażałem sobie, że pewnie to podczas mego snu nowe stworzenia na świat przychodzą. Bez wątpienia, powiedziałem sobie, zaledwie zamknę oczy wkradają się one całkiem już wykształcone między żyjące istoty.

Postanowiłem nie spać dzień i noc, dopóki nie zgłębię tajemnicy.

Przy świetle gwiazd patrzyłem na dalekie morza, słuchałem szelestu dźwięczących lasów. Nic nie zdradzało zasadzki, a gdy zeszła zorza, prawie zawsze jakieś nieznane, z nicości wyszłe stworzenie, straszne lub powabne, tygrys lub antylopa, przeszło mimo mnie, urągając. A najlepsze z pomiędzy nich, ptaki, wołały swoim słodkim i drwiącym głosem:

Patrz Chyronie, powiedz mi, zkąd się biorę. Zgadnij jeżeli możesz. Twoja mędrcze nauka czy także ma skrzydła?

Nareszcie.. nareszcie stanął przedemną człowiek. Poznałem moją postać, moją twarz, płomień moich oczu. Usta jego otworzyły się — poznałem mój głos. Jego czoło się rozjaśniło i poznałem myśl moją.

Cóż to, czy podczas snu mego wykradł mi moje życie, jaźń moją.? Podobieństwo szło aż do pasa, niżej wszystko było inaczej. Dla czegoż nie skradł mi także moich lędźwi, moich niezwyciężonych bioder i nóg szybko-skrzydłych, których zazdroszczą mi orłowie? Czy pogardził niemi?

Porównywałem go z sobą i nie wiedziałem co sądzić o tym własnym moim odłamie. Głową byliśmy równi, lecz co do ciała, kto z nas był górą? Pierwszą moją żądzą było udusić tę moją połowiczną podobiznę, zanim postawi pierwszy krok na ziemi. Porwałem go więc i jak łup uniosłem, potem jednak widząc, jak był słabym na duszy i ciele, miałem litość nad nim.

Wziąłem go do mojej pieczary i dałem mu pierwsze wychowanie centaurów.

Przyszedł zgłodniały, dałem mu szpiku z lwa, którego zabiłem, by go żywić. Jedz, rzekłem do niego, jesteśmy braćmi, gdyż bez wątpienia mamy jednego przodka, który nam obydwóm przekazał rysy swojej twarzy.

Mówiąc tak, zapomniałem o kształcie moich nóg.

Jakkolwiek nie umiał on jeszcze mówić, począł jednak wydawać stłumione krzyki, które lodem ścinały mi serce. Poznałem po tych krzykach, że brał mnie za jednego z tych potworów, które wyprzedziły go na świecie. Patrzał pogardliwie na moje podłużne, obrośnięte członki i na kopyto, które mi służy za stopę. Była duma w jego krzyku a kiedy wyjąknął swoje straszne: ho! ho! zdawało mi się że chce powiedzieć:

Ty moim bratem? spojrzyj przecie potworze na twoje nogi. Idź precz! twoja rodzina jest między temi, co dziką trawę spasają, podczas gdy ja należę do bogów.

Spuściłem oczy na piersi i ujrzałem się, a raczej sądziłem, iż się widzę po raz pierwszy. O boleści! o hańbo! zwierzę we mnie zgrozą mnie przejęło i rozpaczą.

Chciałbym był uciec sam przed sobą. Ach! gdybym mógł na chwilę zapomnieć o czworonożnym centaurze, którego nosiłem z sobą! Do połowy skryty wśród leśnych ziół, albo wśród wód oceanu, usiłowałem sam się oszukać. Ale napróżno, wróciwszy do mojej pieczary, znalazłem tam mego gościa. Widząc go, czułem jego pogardę.

Przyjmował moje dary, więcej mnie jednak nie polubił; głos jego, gdy mówił do mnie, był trwożliwy, jak gdyby mówił do oswojonego lwa; podawałem mu rękę—on ją odepchnął. Duże łzy pociekły mi z oczu i spadły na piersi. Płakałem nad moją nieśmiertelnością!

Tymczasem przypatrywałem się temu, który mnie za juczne zwierzę uważał. Uzbrojony w kamienny topór, wychodził zawsze co rana na łowy. Raz ujrzałem go wracającego z czaszką ludzką w ręku, z której chciał właśnie pić krew.

Przewróciłem jego czarę i rzekłem: Ty mną gardzisz, mną, Chyronem, najmędrszym ze stworzeń, z powodu mych bystrych nóg; sto razy odkryłem w tobie okrucieństwo wilka, obłudę węża, złośliwość tygrysa, tchórzostwo zająca i podłość płaza. Więc godzisz się na wszystkie ohydne właściwości, które wrą w zwierzętach, a mimo to twierdzisz, że nie masz nic wspólnego ani z niemi, ani ze mną. Podawałem ci rękę, tyś ją odtrącił. Jak cię zobaczę bez przywar, uwierzę, że ciebie i mnie nic nie wiąże ani w teraźniejszości, ani w przeszłości; aż dotąd nie spodziewaj się mnie oszukać. Na przekor tobie, mamy obydwa jednego i tego samego przodka. Mnie przekazał on swoje nogi, tobie swoje serce i drapieżną duszę.

Tu przerwał sobie centaur, potem patrząc na Achillesa dodał:

Przypomnij sobie synu mój, moje słowa, kiedy uczujesz, że gniew wreć w tobie poczyna. Teraz wiesz, dlaczego widząc to wieczne zjawianie się stworzeń i pokoleń, które przedemną uciekają, i których pochwycić nie mogę — dlaczego nudzi mnie, żem nieśmiertelny. I ty lękaj się zostać nieśmiertelnym. Jest to ostatnia rada twego nauczyciela Chyrona.

Po tych wyrazach, westchnąwszy, Chyron wrócił do swojej groty, pozostawiając lekkonogiego bohatera nieznanym losom, które nań czekały pod murami Troi.

L. Madejski.

MODLITWA.

Matko Przeczysta! pieją Ci anieli
W śnieżystych szatach uwielbienia chór;
Lecz żaden anioł nie śnieżny w swej bieli,
Jak Ty, wybrana liljo z ziemskich cór!

* * *

Wszystko Ci znane, wszystko co człowiecze:
Rozkosze matki — ach i ziemskie łzy!
Radość i smutek i boleści miecze,
Wszystko co ludzkie — okrom jednej zmazy.

* * *

Matko Miłości! skrzepienia uśmiechem
Podnieś Ty słabych a walczących z grzechem;
Gdyśmy w pokusach, błagaj Ojca o to,
Niech nas upadku nie kaźni sromotą.

* * *

Matko Przeczysta! o, prowadź nas dzieci,
Nas dzieci ziemi ułomne do Syna;
Tam bez czystości nic się, nic nie świeci!
Bez niej, ach, wiemy, wszystko proch i glina.

* * *

A jako ostać się przed sądem Pana,
Gdy dusza nasza grzechami zmazana!
Matko Przeczysta! módl się, niechaj łzami
Pokuty zmyjem to, co tu się splami.

* * *

A gdy u ziemskiej naszej staniem drogi,
Orędowniczko konających święta!
Ufnością w Pana śmierci rozpędź trwogi,
Lekko nam z duszy zdejm cielesne pęta.

1878. *Karol Brzozowski.*

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

(Ciąg dalszy)

Zarumienił się wprawdzie mocno, usłyszawszy dźwięk własnych wyrazów, ale już było za późno, ażeby je cofnąć.

— A widzisz — zawołała p. Magdalena do męża — p. Wołodecki nierównie jest grzeczniejszym od ciebie. Uznaje przecież, że i o nas trochę pomyśleć wypada, a nietylko o tej waszej nieznośnej polityce. I ty mógłbyś zatrzymać się chwilkę; zaraz będzie kawa.

— Zatrzymać się! Kobieto, co tobie w głowie? Ja mam pić kawę, a tymczasem Wtorkowski albo Czwartkiewicz palną jakie głupstwo, które się już naprawić nie da i które pokrzyżuje wszystkie plany dra Mitręgi, i innych mocarstw... Idę, pędzę, galopem, każę im czekać na wiadomości z Krachenburga!...

Ostatnie te słowa wymówione już były na ulicy. Dla uspokojenia czytelników powtarzam, że sekretarz nie mógł się spóźnić, ani Wtorkowski bowiem, ani Czwartkiewicz, ani nikt inny w całym Wilkowie nie rozpoczynał żadnej »akcji« — wszyscy owszem »czekali galopem«, jak mówił sekretarz, na rezultat misji majora Bombogromskiego w Krachenburgu, który przecież zapowiedział, że »już on im pokaże!« Czekali nie galopem nawet, ale *ventre à terre*; nikt nigdy tak pilnie i usilnie nie mozolił się czekaniem, jak obywatele wilkowscy.

— Czy ten dr. Mitręga jest w istocie taką ważną i wpływową figurą, panie Stanisławie? — zapytała panna Natalia.

— To jest... tak, rzeczywiście... dziennikarstwo dziś nie jest bez wpływu na bieg spraw publicznych.... zresztą ma on stosunki i z ludźmi zajmującymi bardzo znakomite stanowiska...

— Mój ojciec nie może go się nachwalić... Co do mnie, znajduję go zarozumiałym i nadętym...

— O, nie! ma on tylko tę pewność siebie, jaką daje obracanie się w wyższych sferach towarzyskich. Przytem, serce najlepsze, uczynność rzadka, której sam najlepsze mam dowody...

— Obracanie się w wyższych sferach towarzyskich! Czy to ma znaczyć, że kto rozmawia z grandami, to już z niższymi od nich nie potrzebuje zadawać sobie przymusu? A familjantem sam przecież nie jest dr. Mitręga!

— Hm, matkę jego rodziła baronówna Mordężanka, a jego samego swatają z hrabianką Gozdawicką z Wielkich Gozdawic...

— Et, nieznośny truteń, i kwita.

— Panna Natalia bardzo niełaskawa na człowieka, który mi zrobił wiele dobrego.

— Wiele dobrego! Zasadził pana za biurkiem, ażebyś dniem i nocą pracował za niego, podczas gdy on jeździ to konno, to powozem, i stara się niby o sprawę publiczną, a w rzeczywistości, o hrabiankę Gozdawicką!

Gdyby dr. Mitręga był rywalem Stanisława w domu Kluszczyńskich, nie mógłby był ten ostatni jednocześnie i lepiej, i gorzej mu się przysłużyć. Wszystkie sekretarzówny nienawidzą kawalerów, starających się o hrabianki, i wszystkie, same sobie z tego może sprawy nie zdając, radeby jaką hrabiankę pozbawić konkurenta. Z drugiej strony, młody człowiek szlachetnie stający w obronie rywala, stawia się w pięknem świetle wobec kobiety szlachetnej i rozumnej — ale młody człowiek, przyznający się, że doświadczył dobrodziejstw od drugiego młodego człowieka, poniża się w oczach kobiety głupiej i bez serca. Weźmy środek między temi dwiema ostatecznościami, tj. między rozumem a głupotą i między szlachetnością a brakiem serca — a otrzymamy przeciętne wrażenie, jakie rozmowa powyższa sprawiła na umyśle panny Natalii.

Widziała ona p. Mitręgę zaledwie kilka razy, i znalazła go, czem był w istocie, bardzo przystojnym młodym człowiekiem. Zaimponowała jej cokolwiek jego fałszywa mina »z pańska«, chociaż do tego nawet sama przed sobą nie byłaby się przyznała. Zgniewał ją tem, że zajęty polityką i obrabianiem sekretarza, za mało na nią zwracał uwagi. Nie każdy człowiek »na ożenieniu«, wchodzący w dom, gdzie jest panna na wydaniu, staje się konkurentem, ale to pewna, że każdy bywa rozważanym i oglądanym przy świetle tej lampy, która służy do oceniania konkurentów, a jeżeli okaże się odpowiednim, i sam tego uznać nie chce, to staje się, jako wyżej, »nieznośnym trutniem«. Swoją drogą nieraz od niego zawisło zmienić to zdanie na inne, wprost przeciwne.

Podczas tych uwag naszych, pani sekretarzowa, ukończywszy przygotowania do kawy, dała była hasło do spożywania tego kolonjalnego daru bożego, i rozmowa weszła na inne, mniej drażliwe tory. Kluszczyńscy przebywali niegdyś, przed laty, w okolicy Stawiczan, i ztąd pani Magdalena znała panią Wołodecką. Zapytała o jej zdrowie. Stanisław odpowiedział z podziękowaniem, że jest dobre. Sekretarzowa, w dalszym ciągu, jęła opowiadać szeroko o swojej znajomości z Wołodeckimi: jako rodzice pani Wołodeckiej mieli kiedyś znaczny majątek, ale go stracili. Jako śp. Wołodecki miał także ładny mająteczek, i dobrą posadę urzędową, ale stracił jedno i drugie, i umarł ze zgryzoty. I jako opłakane położenie p. Wołodeckiej, wyciskało zawsze łzy pani sekretarzowej, która rzeczywiście była dobrą kobietą. Na to Stanisław odpowiedział, że hr. Łapiński zwrócił nakoniec ulokowaną u niego sumę, którą on właśnie, działając we własnem i w matki imieniu, jako pełnomocnik u notarjusza odebrał. Tu sekretarzowa westchnęła, i rzekła, że gdyby wszyscy, co skrzywdzili rodziców Stanisława, oddali jego matce chociaż połowę, to byłaby jeszcze bardzo majętną. Wśród tego wszystkiego wypito kawę, i towarzystwo przeniosło się do altanki w ogródku. Taki sam ogródek, taka sama altanka jak owa w Stawiczanach, w której p. Smiechowski starał się o panią Alojzę!

Nieoceniona Marysia odwołała znów

panią sekretarzowę, był to bowiem sezon przyrządzania korniszonów i innych konserw. Stanisławowi biło serce tak gwałtownie, że podnosiło paczkę idealników, prozaicznie na niem umieszczoną. Ma się rozumieć, że układał sobie w głowie, co ma powiedzieć, i że ile razy spojrzał na pannę Natalię, myśli i wyrazy plątały mu się tak, że musiał spuszczać oczy i rozpoczynać kompozycję na nowo.

— Cóż to pan dziś tak zamyślony; czy może także jaka hrabianka?...

— Panna Natalja nielitościwie żartuje sobie ze mnie — rzekł płaczliwym głosem.

— Ależbo wy panowie dziennikarze, co trzęsiecie losami świata, i macie takie familijne koneksje, nie możecie zniżać się do prostych śmiertelniczek.

— Nie... możemy...

— A więc zgadłam! No, proszę prędko powiedzieć mi, jak się nazywa *ta* panna hrabianka? Czy młodsza Gozdawicka, z wielkich Gozdawic?

— Nie Gozdawicka, nie hrabianka... księżniczka, królewna, więcej niż królewna, istota nadziemska, panno, ach, panno Nataljo!

— Przestraszasz mnie pan, co panu takiego?

Tutaj bohater nasz, według wszelkich prawideł scenicznych, runął na kolana, złożył ręce jak do pacierza i wznosząc oczy, z których płynęły dwie wielkie łzy po drgających od wzruszenia policzkach, zawołał niemal łkając:

— Panno Nataljo, ja panią tak kocham!

Stało się. I dobrze się przytem stało, że jednocześnie Stanisław porzucił klęczącą pozycję i wstał na równe nogi, klęczenie bowiem wobec istot posiadających rozwinięty nieco zmysł humoru, chybia dramatycznego efektu. Panna Kluszczyńska mogła była rozśmiać się i pozbawić moją powieść dalszego, romantycznego jej wątku. Tak zaś, odparła tylko zakłopotana:

— Ja... ja także jestem panu życzliwą, ale...

— Ale?!

Nie ma znaku drukarskiego na wyrażenie, ile uczucia obawy i ukrytej nadziei było w tym wykrzykniku.

— To... zależy od moich rodziców... — mówiła dalej.

— A jeżeli rodzice pozwolą, to mogę mieć nadzieję?

Podała mu rękę, nic nie mówiąc.

— Panno Nataljo, czy w istocie sprzyjasz mi pani?

Znowu nic nie powiedziała, ale uścisnęła mu rękę, i popatrzyła mu w oczy tak, że słowa były zbyteczne. W tej chwili sekretarzowa zjawiła się w altance, niepoprzedzona żadnym szelestem, jakby z pod ziemi wyrosła.

— Ja oddawna miarkowałam, na co się zanosi — rzekła dobrotliwie.

— Mamo! — zawołała panna Natalja, tuląc się do jej łona.

— Pani! — zawołał Stanisław, całując jej ręce.

— Moje dzieci — odpowiedziała — ja nietylko miarkowałam, na co się zanosi, ale prosiłam Boga, ażeby się tak stało. Mam do tego moje powody. Tylko że to nie odemnie zawisło... Musisz, panie Stanisławie, pomówić z moim mężem. Nie sądzę, by się opierał waszemu związkowi. Na każdy sposób przypomnij mu pan, że jesteś synem Macieja Wołodeckiego.

— Nie pojmuję... — zaczął Stanisław, więcej aby coś w ogóle powiedzieć, niż aby żądać wyjaśnień. Gdyby mu kazano przyznać się, że jest wnukiem Wielkiego Szeryfa Mekki, albo Piekarskiego na mękach, a obiecano mu za to Natalję, byłby się przyznał bez namysłu — tem bardziej mógł się przyznać do rodzonego ojca.

— Ja wiem, co mówię — ciągnęła dalej sekretarzowa — ale o tem, potem. A teraz, kiedy już wiecie, że się kochacie, to rozejdźcie się tymczasem, bo nie mam serca zabronić wam gruchania, a pozwolić przecież także nie mogę, póki mój mąż nie przyjmie pańskich oświadczyn. Idźże pan sobie już, idź, i nie przychodź, aż jutro!

Wypadało posłuchać. Stanisław pocałował raz i drugi podaną sobie rączkę panny Natalji, i jakoś nie mógł zdecydować się i puścić ten zadatek szczęścia.

— Ach, Boże, z tymi zakochanymi! No, pocałuj ją pan zresztą w czoło, ale idź pan sobie!

I całus, jakkolwiek pod macierzyńskim nadzorem, udał się lepiej, niż bywa w takich razach. Zapewne strona przeciwna, broniąc się niezręcznie, zamiast czoła, nadstawiła usta. A jakie słodkie usta!

* * *

Fejleton, który Stanisław tego wieczora przygotował dla *Orędowniczki*, nawet w uszach złośliwego *Szturchańca* nie był »fleto - tonem«. Były w nim puzony, surmy, rogi myśliwskie, wołające w tryumfie: ho, upadł! — było hozanna anielskie i evoe pogańskie, ale płaczu nie było. *Szturchaniec* pozbawiony był zwykłej swojej tygodniowej karmy.

Sekretarz tymczasem wrócił do domu, od Lejzora z miodu, i był w różowym humorze. Nie mógł się dość naopowiadać żonie o potężnym wpływie, jaki wywarł na swoich stronnikach politycznych, o okropnych konflagracjach europejskich, którym zapobiegł, i o jeszcze okropniejszych, które przygotował. Trwało to bardzo długo, nim sekretarzowa, wysłuchawszy cierpliwie całej tej relacji, mogła nakoniec wtrącić:

— Wołodecki oświadczył się dzisiaj o rękę Natalci.

— Co, co? — zawołał pan Kluszczyński, podnosząc głowę z poduszki.

— Powiadam, że Wołodecki oświadczył się o rękę Natalci, a jutro będzie u ciebie w tej sprawie.

— A to znowu co takiego! To... to bynajmniej nie wchodzi w mój program! Ja mu to wyperswaduję. Zresztą on nic nie ma; goły jak turecki święty.

— Jeżeli nic nie ma, to nie on temu winien, ale inni. Wiesz przecie, że to syn Macieja Wołodeckiego ze Stawiczan, któremu... winniśmy może pewne zadośćuczynienie. Natalcia nie jest bez grosza, i może Pan Bóg tak pokierował, ażebyśmy mogli wrócić synowi, co się urwało ojcu...

Tu sekretarz, nie tylko podniósł głowę, ale siadł na łóżku, i zawołał głosem, w którym był jakiś inny akcent niż wtenczas, kiedy mówił o polityce:

— Kobieto, milcz, i nie mięszaj mi się do interesów, zwłaszcza gdy ich nie rozumiesz!

— Być może, że nie rozumiem, ale czuję...

— Czujesz, czujesz! I ja czuję także, jak się kto dobiera do mojej kieszeni. Hołysz, któremu potrzeba będzie sprawić meble i suknie, i dać mu utrzymanie dla niego i dla żony! Piękne mi uczucie!

— Najpierw, nie hołysz, bo odebrali wczoraj 8000 od Łapińskiego, a zresztą ma utrzymanie przy gazecie, o którem sam tyle mówiłeś. Nakoniec, Natalja mu sprzyja, a jeżeli tak zechcemy przebierać i czekać aż się o nią oświadczy Rotszyld, to chyba nigdy jej nie wydamy.

Mam ja moje plany, na które i dziewczyna się zgodzi, jeżeli ma rozum. A co się tyczy Wołodeckiego, wyperswaduję mu to, i basta.

Długo jeszcze trwał spór między pp. Kluszczyńskimi na ten temat, wśród którego, ile razy pani Magdalena poruszyła ową tajemniczą sprawę zadosyćuczynienia, należącego się Wołodeckim, sekretarz przerywał jej mowę groźnym wybuchem gniewu. Sekretarzowa należała do tego rodzaju żon, które milkną wobec brutalnego krzyku, a zresztą tak mało znała się na interesach, że nie mogła poprzeć żadnym racjonalnym argumentem tego, czego się raczej tylko domyślała, co czuła nawet głęboko, ale co w szczegółach swoich było dla niej niejasnem.

Pod złemi tedy auspicjami rozpoczęła się nazajutrz konferencja między Stanisławem, we fraku i perłowych rękawiczkach, a sekretarzem w szlafroku i z długim cybuchem w ustach. Zresztą, przez noc, stracił nasz bohater wielką część tego, sangwinicznego usposobienia, które znalazło było swój wyraz w fejletonie, przeznaczonym dla *Orędowniczki*. Rozważył, że majątek sekretarza ceniono na parę kroćstotysięcy, i że krok, na który się ośmielił, mógł być tłumaczonym jako prosta spekulacja na posag. Przedstawił więc swoją prośbę nieśmiało i otworzył tem samem szerokie wrota darowi perswazji, który sobie przypisywał sekretarz. Sprawa stała coraz gorzej, p. Kluszczyński prawił jak z katedry, i z lubością wsłuchiwał się w bujne fale głosu, które rozpuszczał po pokoju. Miał już kończyć stanowczą rekuzę, kiedy nagle w oknie po za jego haftowaną czapeczką pojawiła się poczciwa twarz pani sekretarzowej. Ujrzał ją Stanisław, tocząc w około wzrok rozpaczliwy. Robiła mu jakieś energiczne znaki, których z początku nie rozumiał. Nakoniec wskazała najpierw altankę, a potem męża. Stanisław przypomniał sobie wreszcie wczorajszą rozmowę, której jak wówczas, tak i teraz nie rozumiał. Ale była to ostatnia kotwica nadziei, i chwycił się jej z tą odwagą, jakiej dają zwykle dowód właśnie najbojaźliwsi ludzi w chwili wielkiej trwogi.

— Zresztą — odezwał się dziwnie

stanowczym głosem, przerywając sekretarzowi jego perorę — zresztą, nie zapominaj pan, że jestem synem Macieja Wołodeckiego!

Nie wiem, dla czego sekretarz opuścił w tej chwili swój cybuch na ziemię, i zerwał się z miejsca, wlepiając w Stanisława wzrok, niby przerażony.

— Pan jesteś synem Macieja Wołodeckiego, wiem o tem.

— Tak — mówił dalej Stanisław na chybił-trafił — jestem synem Macieja Wołodeckiego, i mam przytem pewną pozycję w dziennikarstwie krajowem. Posagu panny Natalji nie potrzebuję...

— Ależ, drogi, kochany Stasiu, — zawołał p. Kluszczyński, — porywając go ni ztąd ni zowąd w swoje objęcia — jak mówiłem, to wszystko da się jakoś załatwić! Toć ja z twoim ojcem żyłem i kochaliśmy się jak brat z bratem! Dziennikarstwo to dzisiaj wielka potęga, w sprawach publicznych i ....w prywatnych! Oczywiście, że musimy poczekać aż... aż się stosunki publiczne wyklarują... wszak wam nie tak pilno, jesteście jeszcze bardzo młodzi. No, ktoby się był tego spodziewał, że syn tego kochanego, poczciwego Macieja, będzie kiedyś moim zięciem! Ale poczekać musicie jeszcze kilka miesięcy, a może i rok cały... to przecież nie wieczność!

I od tej chwili, Stanisław mógł napisać matce, mógł ogłosić w całym Wilkokowie, że jest narzeczonym panny Natalji.

Tylko gdy otrzymał od matki odpowiedź z tymczasowem błogosławieństwem, zawierała ona niezrozumiały ustęp:

»Dziwne są drogi Opatrzności! Kluszczyńscy! Ktoby się był tego spodziewał!«

A kiedy opowiedział cały przebieg sprawy Smiechowskiemu, i przyznał mu się, że nie pojmuje przyczyn nagłej kapitulacji sekretarza, Władysław powiedział mu:

— Tak jak rzeczy stanęły, lepiej, że tego nie pojmujesz, — ale udawaj, że pojmujesz, a sekretarz nie cofnie danego słowa.

Zagadka została zagadką, na razie przynajmniej.

Teraz zaś kiedyśmy już skojarzyli jedno małżeństwo, pospieszymy za drem Mitręgą do hr. Skirgiełły, który ma chrypkę, kaszel, gorączkę, i nudzi się okropnie.

(C. d. n.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

przez

ZYGMUNTA MIŁKOWSKIEGO.

(Historja pierwotna Polski p. Juljana Bartoszewicza, tomów cztery, Kraków 1878, nakładem syna autora.)

W miarę jak się podnosi poziom wiedzy ogólnej, historja coraz to większego nabiera znaczenia, coraz to bardziej wzrasta w powagę — coraz to szerzej rozwija posady, na których się opiera. Ażeby się o tem przekonać, dość porównać źródła dziejowe, jakiemi historjopisarze posługiwali się dawniej, a jakiemi posługują się obecnie. Dawniej — w epoce pierwocin nauki — wystarczały podania ustne; następnie przybywały kolejno świadectwa różnorakie, które w momencie dzisiejszym obejmują już wszystko, co wchodzi w zakres działalności ludzkiej na polach: politycznem, społecznem, naukowem, piśmienniczem, artystycznem, na każdem, słowem jednem. Horyzont dziejowych badań rozszerzył się i postawił dziejopisarza w warunkach bardzo trudnych. Ażeby być historykiem, w dzisiejszem wyrazu tego znaczeniu, potrzeba być uczonym, wszechstronnym, zdolnym na rzecz studjum dziejowego zużytkować odpowiednio każde, na każdem polu świadectwo działalności osobistości zbiorowej, przedstawiającej się pod postacią ludzkości całej, narodów, prowincyj, miast, gmin, rodzin nawet. Potrzeba ważyć, porównywać, wybierać i wniknąć umieć w szczegół każdy, w objaw każdy, ażeby wedle takowych zobrazować całość, zdającą sprawę dokładną z przejawów życiowych w ciągu pewnym wieków lub lat. Jest to reguła ogólna dla historyków traktujących historję ze stanowiska *historycznego* — studiujących prawa rozwoju człowieka uspołecznionego. Od reguły tej są wyjątki. Te zależą od stanowisk, z których wypływają założenia specjalne. Historyk, stawiający się na stanowisku politycznem, napisze historję polityczną, albo historję polityki, powszechną, lub częściową, pewnego państwa lub narodu; ze stanowiska prawa wyjdzie historja rozwoju prawnego; z religji — religijnego; nauk, literatury, sztuk — cywilizacyjnego; i t. p. Niektórzy dwa i więcej stanowisk łączą w jedno, podążając w ten sposób do pełni historycznej. Inni znów, w połączonych punktach poglądu, jednemu nad innemi przewagę nadają, czyli, jednemu inne podporządkowują i cechują pracę swoją wyłącznością, wypadającą nierzadko z krzywdą poglądu ogólnego, polegającego na zestosunkowaniu dokładnem, równomiernem a bezstronnem wszystkich stron życia, wszystkich objawów rozwoju, wszystkich fenomenów dziejowych.

Ideał historyka polega na napisaniu historji czy to powszechnej, czy częściowej, w sposób taki, w jaki się pisze historja naturalna, bez uniesień, bez zabarwień, bez powziętej z góry tendencji. Historję taką napisać może uczony, któryby się postawił na stanowisku filozofji pozytywistycznej i odgrodził od wszelkich otaczającego go świata wpływów. Jestto rzecz bardzo trudna, zwłaszcza gdy się pisze dzieje narodu, którego się jest członkiem. Trudność tkwi w przedmiocie samym, od którego piszący oderwać nie może osobistości własnej i zobojętnić dla onego do tego stopnia, azeby krytyka materjału historycznego nie zmieniła się pod piórem jego w sąd zdarzeń i sytuacji. Krytyka a sąd są to dwie rzeczy całkiem różne. Pierwszej chodzi o prawdę w wykazywaniu ciągu rozwoju społecznego, w wiązaniu przyczyn z następstwami, w tłumaczeniu fenomenów historycznych, znamionujących stopniowe kształtowanie się i pomyślny, lub niepomyślny rozwój organizmu zbiorowego we względzie tak narodowym, jakoteż państwowym; drugi ocenia wypadki z pewnego przez pisarza z góry zajętego punktu, pochwalając jedne, ganiąc drugie, opiniując co i jak stać się było powinno przed wiekami. Opinjowanie takie ochwiewa ścisłość naukową w ogóle, niekiedy zaś fałszuje historję, przedstawiając zdarzenia, osobistości i charaktery epok w świetle całkowicie lub częściowo mylnem. Mylność światła onego tem bywa większą, im bardziej specjalnem jest stanowisko, jakie zajął historyk.

Po tych uwagach wstępnych przystępując do rozpatrzenia pracy Juljana Bartoszewicza, p. t. *Historja pierwotna Polski*, z góry zaznaczamy, iż nie mamy do czynienia z ideałem historyka. Stanowisko przez autora zajmowane jest stanowiskiem polityczno-religijnem. Gorliwość katolicką łączy Bartoszewicz z gorącą miłością Polski. Pryzmat, przez jaki zapatruje się na rozwoj wypadków, przeszkadza mu być ściśle objektywnym i zachowywać tę zimną krew, jaka potrzebną jest w badaniach historycznych; nie mniej przeto praca ta odznacza się zaletami wielkiemi, zwłaszcza, że w literaturze naszej historycznej napróżno szukalibyśmy takiej, któraby ściśle odpowiadała wymogom nauki, w pojmowaniu onej dzisiejszem. W braku historji ściśle *historycznej*, *Historja pierwotna Polski* przedstawia się, jako bardzo ważny przyczynek, posługujący do wglądnięcia w najciemniejsze i najważniejsze momenty dziejów narodu naszego, w te momenty, w których rozpoczęło się życie organizmu państwowego, wykluwając się ze zbiegu przyczyn tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, mających odbić się następnie na losach Polski. Najważniejszemi są te momenty i, wyznać należy, iż autor nasz, nie rozświetliwszy ich może całkowicie, rzucił jednak na nie światła o wiele więcej, aniżeli poprzednicy jego.

Rozpatrzmyż pracę jego w głównych onej zarysach. Że zaś jest to praca obszerna i ważna, której krótko zbywać nie godzi się, więc ułatwimy sobie zadanie, dzieląc przegląd nasz na ustępy, które będziemy podawali czytelnikowi kolejno, w przestankach pewnych.

I.

Praca Juljana Bartoszewicza, przedstawiająca się pod postacią czterech dużych tomów, obejmuje dzieje Polski od najpierwszego onych zaczątku do r. 1177. Autor, wbrew przyjętemu przez dziejopisarzy zwyczajowi, nie dzieli historji na doby, ani na epoki, nie zaopatruje jej na pierwszych stronnicach w pogląd ogólny, nie poprzedza przedmową, wstępem; przystępuje do opowiadania od razu, rozpoczynając takowe od pierwszych wieków po Chrystusie, rzutem oka na rozsiedlenie się Słowiańszczyzny w Europie. „Rozsiedlenie się Słowiańszczyzny w Europie“ stanowi treść i tytuł rozdziału pierwszego księgi pierwszej, dochodzącej do upadku państwa Wielkiej Morawy. Widzimy Słowian w kolebce ich, na powiślu i na podunaju, bezimiennych, w ruchu ustawicznym, trwającym wieki całe. Popędzani przez Scytów, przez Germanów, przez Gotów, przez Hunnów, przechodzą z północy na południe i z południa na północ, na zachód, na wschód, zajmując pustki pozostawione przez wywabionych do Italji Germanów, mięszając się z pozostałościami ich, biorąc udział w wyprawach wodzów wędrownych, zaludniając Grecję, przechodząc do Azji nawet, osiedlając się i nadając nazwę zajętym przez siebie miejscowościom. Ruch ten jest to hipoteza, która nie każdemu może do przekonania trafi. „Tak wielki i liczny naród jak słowiański nie przychodzi“—powiada Lelewel; my zaś dodajemy: i nie przechodzi, „ale na miejscu wzrasta“. Nie idzie za tem, aby się odbywać nie miały i przechody, ale częściowe, wyjątkowe, wywoływane i porywane tym pędem, jaki nadawały wędrówki narodów, wyrajających się z Azji i ze Skandynawji i prze-

*

walających się przez Dację i Panonję. Wyroje te potrącały o Słowian, jednych zabierały i unosiły, jak potoki zabierają i unoszą piasek, drugich podbijały, innych przepędzały; lecz ogół nasiedlenia w większości swojej trzymał się gruntu rodzinnego, mianowicie zaś w okolicach, o które narody najezdnicze bokiem się jeno ocierały, które, mówiąc językiem dzisiejszym, nie leżały na szlakach ich strategicznych. Okolice takie znajdowały się na powiślu, sięgając na zachód po za Odrę, ku Elbie, na wschód ku źródliskom Dźwiny i Dniepru, na południu opierając się o grzbiet gór Karpackich. Ruch przeto, który Bartoszewicz w całej widzi Słowiańszczyźnie, odnosić się jeno może do tej, co się znajdowała na zewnątrz krainy, zwanej przezeń „rdzenną“, a przeznaczonej na gniazdo dla Polski. Nigdzie atoli, zdaniem naszem nie mógł on dotykać zaludnienia miejscowego inaczej jak mniej lub więcej powierzchownie, że się tak wyrazimy; podstawa narodowościowa na miejscu pozostawała, ulegając losowi, jaki się zdarzył: jedna przenarodowiała zdobywców, jak podnieprzańska i w Mezji dolnej, druga przyjmowała jarzma obce, jak w Panonji, inna pustoszała, jak Dacja. Prądy unosiły, nie wszystko atoli. Warstwa zarodowa, *glebae ad scripta*, nie opuszczała siedlisk ojczystych, dzięki charakterowi rolniczemu, w jakim widzimy Słowian od chwili najpierwszego wynurzenia się ich z odmętu przedhistorycznego i w jakim przedstawia ich nam autor w skreślonym *con amore* rozdziale p. t. „Cywilizacja słowian“. W rozdziale tym na uwagę szczególną zasługuje ustęp, traktujący o rządzie i władzy zgodnie z podaniami źródłowemi. Wydaje się on nam ważnym z tego względu, że zaznacza punkt wychodni przyszłej organizacji państwowej, będący kolebką duchową narodów słowiańskich, fundamentem wychowania ich politycznego, zmienionym tu, skrzywionym ówdzie, lecz w największej możliwie czystości swojej przechowanym w Polsce, na którą on, fundament ów, sprowadził w wiążących się w jeden logiczny łańcuch następstwach wszystko dobre i wszystko złe, której nadał fizjonomję dziejową, odrębną od fizjonomji państw innych.

Następnie ukazuje nam autor postać Karola Wielkiego i zaznacza wpływ przeważny, jaki kreacja jego wywarła na świat słowiański. Pod naciskiem wpływu tego wytwarzać się poczynają pierwsze centralicacje słowiańskie: Samo i Czesi, państwo Wielkiej Morawy; zawiązuje się rozwija i kończy „Epopeja morawska,“ w której w oświetleniu heroicznem występują postacie książąt-wojowników-organizatorów Mojmira Rościsława, Świętopełka i apostołów Cyryla i Metodego. Wielka Morawa jestto pierwszy objaw samopoczucia narodowego, pierwszy przebłysk indywidualizmu zbiorowego, pierwsze skupienie się odporne, mające na celu obronę przeciwko parciu się niemieckiemu, niosącemu panowanie obce, władzę obcą.

Władzę tę, wytwór geniusza Karola Wielkiego, autor świetnemi maluje barwami i barwami temi maskuje istotę pochodzenia onej, odnoszącą się w jednej połowie do państwa Rzymskiego, na ruinach którego stanęła, w drugiej do tego systemu, jaki wprowadzali zdobywce, co państwo Rzymskie do ruiny przyprowadzili i na rumowiskach onego państwa nowe zakładali. System ów znanym jest pod nazwą feudalnego. Karol W. znał mocne i słabe jego strony, i jeżeli gdzie, to przy okazji wywołania imienia monarchy tego, było miejsce oznajomienia czytelnika z formą, która, wytworzywszy się na drodze podbojowej, stała się klamrami państwowemi, cechującemi państwa nowożytne. Miała ona znaczenie ogromne. Ten system, przez Karola W. uregulowany i ukonsolidowany, wprowadzanym by na wszystkie ukrainy (marchje), które Niemcy zakładali na gruntach słowiańskich; on to właściwie wywierał ów nacisk, o którym wspominamy powyżej. Nacisk ten był bezpośredni; niósł on dwie rzeczy: wzór organizacji państwowej i religję, czyli, wprowadzał dwie nieznane Słowianom władze, świecką i duchowną, które się skojarzyły na gruncie monarchji powszechnej, na zasadzie jednej owczarni i jednego pasterza. W skojarzeniu się tem dwóch potęg, na jednym stojących gruncie i na jednej opierających się zasadzie, tkwiło rozdwojenie, — zaczem przyszłych zatargów krwawych i — dodamy od siebie — przyczyna, dzięki której niewola umysłowa nie była tak zupełną na Zachodzie, jak na Wschodzie, gdzie władzę duchowną podporządkowała całkowicie świecka. Na Zachodzie dwie władze, duchowna i świecka — papiezka i cesarska — dążąc zarówno do panowania nad światem, w dążeniu tem potrącać musiały jedna drugą, zkąd wypływało, że jedna przeciwko drugiej obezpieczać się zniewoloną była. Kościół współzawodniczył z tronem. Autor nasz pominął to milczeniem, czyniąc w ten sposób niezupełnym pogląd na znaczenie świętego cesarstwa zachodnio-rzymskiego. Natomiast wykazał współzawodnictwo, jakie się wywiązało pomiędzy kościołem zachodnim a wschodnim, wywierające wpływ przeważny na świat słowiański. Połowa świata tego zachodnia dostaje się w sferę cywilizacji łacińskiej, wschodnia — greckiej. Bartoszewicz, opowiadając apostolskie prace Cyryla i Metodego, kruszy kopję o kościół narodowy słowiański, prześladowany przez biskupów niemieckich i demoralizowany, przez patrjarchat konstantynopolski. Przeszkadza to przedmiotowości poglądów i wytłumaczeniu prawdziwej istoty dwoistości myśli, przejawiającej się w podbojach niemieckich, w których cesarze ustanawiali markgrafów, papieże biskupów, idących ręka w rękę o tyle, o ile się to tyczyło dokonania faktu podboju, lecz wchodzących w kolizje, jak skoro fakt dokonanym został. Ze źródła tego ważne wypływały powikłania, układające się tu tak, ówdzie inaczej. Bartoszewicz powikłań tych nieprzewiduje. „Potęga Karola — powiada — tak wzrosła, że Papież Leon III postanowił umyślnie dla niego wskrzesić cesarstwo rzymskie, którego już lat trzysta przeszło nie było“... „Wśród uroczystego nabożeństwa w Rzymie dnia 25 grudnia 800 roku papież Leon w bazylice swojej ukoronował Karola na cesarza“... „Obok starej teorji powstawała nowa, taka jaką zrobiły czas i okoliczności; teorję tę popierał kościół. Karol sam się przeląkł z początku obszerności władzy swojej i obowiązków cesarskich, wkrótce jednak uznał w tym wielkim wypadku koronacji rzymskiej wyraźną wolę Boga, *nutum divinum* i poszedł śmiało po nowej drodze. Kościół chciał zjednoczyć z sobą dwa pierwiastki: germański i rzymski, zawiązywał bratnie przymierze narodów. Ale stanowiąc cesarza, dając mu namaszczenie za wolą bożą, wybierał go na pośrednika, pojednawcę państw chrześciańskich, na cesarza, w którego ręku złożył władzę nad światem *imperium mundi*. Tworzyło się więc jedno wielkie państwo chrześcijańskie, w którem narody i narodowości były tylko prowincjami. W tej wielkiej chrześcijańskiej ojczyźnie dwóch było wielkich władców: cesarz i papież, ciało i dusza. Cesarz miał siłę materjalną, papież moralną. Nie miał wprawdzie w tem państwie cesarz władzy bezpośredniej ponad wszystkimi książęty i królami, ale posiadał wyższość zaszczytu i powagi, pierwszeństwo. Jego jednego koronował papież w Rzymie, na całe święte cesarstwo rzymskie. Wyjątkowem tylko prawem koronowali się inni królowie przez swoich biskupów, papież i cesarz dla ich zasług pozwalał, ażeby nad innych książąt i panów chrześcijańskich święcili. Dla tego żadna pretensja nie była prawną, żadna korona prawną bez zezwolenia cesarza i papieża. Królowie byli jakby starsi bracia państwa chrześcijańskiego, rządzili u siebie niepodległe, ale uznając ponad sobą pierwszeństwo papieża, uznawali i cesarza. Inni książęta niekoronowani ulegli bezpośrednio władzy cesarskiej. Głównym obowiązkiem Karola było bronić kościoła i dawać tem przykład innym panującym w koronie czy bez korony. Karol to pojął doskonale, z całym świętym zapałem piastował swoje cesarstwo. Pisał się zawsze na czele rozkazów swoich: *Carolus sancte ecclesiae defensor humilisque adjutor*, to jest: pełnym poświęcenia obrońcą świętego kościoła i pokornym jego pomocnikiem. Nie zapomniał i o tem, że był *divino nutre coronatus, a Deo coronatus, Romanum gerens imperium, serenissimus Augustus*. Składał przysięgę wierności kościołowi, a papież jemu, jako monarcha państwa kościelnego, które stanowiło jedną część cesarstwa. Nie był przez to hołdownikiem Karola papież, bo owszem był jego najwyższym i bezpośrednim pasterzem. Jako patrycjusz rzymski, jako obrońca kościoła, miał już tem samem cesarz pewne prawo do rządzenia w Rzymie, który był także stolicą urzędową jego cesarstwa. Papież zachował sobie prawo koronowania cesarza, cesarz otrzymał władzę zatwierdzania wyboru naczelnika kościoła. Te wszystkie stosunki były skutkiem świeżo postawionej zasady.“

Zasada ta, wyobrażająca jedną władzę w dwóch osobach, skomplikowana i burzami brzemienna, podszyta legalizmem starorzymskim i feudalizmem teutońskim, groźna bo zasobna w środki i silna organizacją militarno-kościelną, stanęła wobec Słowian z krzyżem i mieczem, niosąc im eksterminację albo niewolę. *Aut aut.* Wyboru nie było, chyba w wybiegach, polegających na podciągnięciu się pod mianownik ogólny, obejmujący ludy podległe władzy dwoistej. Wybieg ów niósł cywilizację, lecz w następstwach poźniejszych, których zasada nie przewidywała zgoła, których w intencjach swoich nie miała wcale. Światło wiary nie oznaczało nauki, potrzebnej jeno w pewnym stopniu dla sług kościoła, dla narzędzi władzy, nie dla ogółu, pozyskiwanego w życiu doczesnem celem zformowania trzody ewangielicznej, w życiu przyszłem dla królestwa niebieskiego, mającego się zaludnić przez „ubogich duchem“. Cywilizacja przeto, jako wynik naturalny, nieprzewidziany i niepożądany krzątania się duchowieństwa około rekrutowania służby kościelnej, w dalszem święciła polu; nasuwała się pośrednio; bezpośrednio zaś ludom słowiańskim chodziło o odwrócenie ciosów, zawieszonych nad głowami plemion, pę-

dzących żywot patrjarchalny. W jakimże sposobie, pod jaką postacią odwrócenie to możliwem było?

Tak się, zdaniem naszem, przedstawia kwestja zawiązków państwowych na Słowiańszczyznie zachodniej.

Tak w gruncie kwestję tę przedstawił autor „Historji Polski pierwotnej“, lecz przystroił ją w szaty, w których cesarz i papież wyglądają zanadto sielankowo, z krzywdą spółzawodnictwa, występującego przeciwko nim ze strony przeciwnej, od Wschodu, z Konstantynopola, tego drugiego Rzymu, który J. Bartoszewicz przedstawia w kolorach czarnych. Z jakiej racji? Tam się urabiało toż samo. Tam także stawała nowa zasada jednej trzody i jednego pasterza, tylko bardziej skupiona, bo dwoistości pozbawiona i przez to centralizująca z góry ruch cywilizacyjny, jaki wywiązał się na Zachodzie z antagonizmu pomiędzy tem, co autor nasz nazywa „duszą“, a tem co nazywa „ciałem“. Sytuacja nastawiała się w formie przyczyny inaczej tu, inaczej tam. Przyczyny odmienne do odmiennych prowadzić musiały następstw, pomimo że intencje nie różniły się we względzie zasad i celów.

Jakkolwiek atoli nie zgadzamy się z Bartoszewiczem we względzie sposobu przedstawienia rzeczy, przyznajemy mu jednak tę zaletę, iż pierwszy z historyków polskich dopatrzył i wykazał zarodową przyczynę pierwocin życia politycznego w praojczyznie naszej. Życie to poczynało się na drodze odpornej i przymusowej, za pomocą wybiegów, prowadzących do naginania i przystosowywania ustroju rodzinnego do ustroju, w którym u góry stała władza dwoista, pod nią kadry, ujęte w klamry prowincjonalno-djecezjalne, u spodu zaś czarniawa, niemająca zadania innego jak milczeć, słuchać, podatki płacić, podwody, zsypy, dziesięcinę i świętopietrze dawać i królowania wiekuistego w życiu przyszłem się spodziewać. Wszystko to *divino nutu*. Trudną też dla praojców naszych być musiała do pojęcia i do przyjęcia ta zasada nowa, podawana im z nożem na gardlę, przez największego w chrześcijaństwie monarchę, przez Karola, od imienia którego, śród Słowian spopularyzowanego, pochodzi wyraz „korol — kral — król“ i którego postać uwydatniająca się mocno na tle dziejów średniowiecznych, posłużyła na długo za wzór do naśladowania władzcom wszystkim, wyrastającym na germańskim i na słowiańskim gruncie.

Zaznaczenie wzoru tego przez Bartoszewicza zaznaczamy i my w przeglądzie pracy jego. Nikt przed nim nie uczynił tego tak wyraźnie, tak jasno i z takim przyciskiem. Wiemy już z góry, że w organizm mającej w półtora wieku po zgonie jego wyjść z kolebki słowiańskiej Polski wzór ten wsiąknie, jako pierwiastek ustroju, modyfikującego ustrój rodzimy o tyle, o ile modyfikacja ta potrzebną z jednej a możliwą z drugiej okaże się strony.

Potrzebną i możliwą.

Potrzeba wynikała z zagrożenia, które ze swojej strony było wynikiem bezpośrednim nowej zasady. Nad światem słowiańskim ciężka zawisła burza — krzyż a miecz — niewola. Państwo Samona upadło; wielka Morawa runęła, pozostawiając po sobie zawiązek czeski, który ostać się zdołał dlatego jedynie, że zechciał i umiał ustrój rodzimy zmodyfikować wedle modły narzucanej przez potęgę zdobywczą; Słowianie nadłabańscy, którzy przykładu Czechów nie naśladowali, wysilali się w walkach obronnych i ulegli jedni po drugich. Potrzeba przeto była wyraźną. Chodziło jeno o możliwość, polegającą na tem, ażeby organizacji słowiańskiej, patrjarchalnej i gminowładczej nadać sprężystość, zdolną odeprzeć nacisk organizacji feudalnej, arystokratycznej. Jak to dopiętem być mogło?... Sprężystość ustroju germańskiego szła z góry, od cesarza, albo raczej, od cesarza i papieża; sprężystość ustroju słowiańskiego wyprowadzić się musiała z dołu, od gminu, wysadzając z łona swego kadry odpowiednie tym, z jakich na społeczność padały pioruny. Próbowano tego na całej linji, na której świat słowiański z germańskim się stykał. Bartoszewicz bardzo trafnie nazywa to skupianiem się Słowiańszczyzny i skupiań się tych wylicza trzy: pierwsze samonowe, drugie wielkomorawskie, trzecie polskie. Dwa pierwsze roztrąconemi zostały nie dla czego innego, jeno dla tego, zdaniem naszem, że znajdowały się za blisko od Niemców — tuż naprzeciw nim — oko w oko. Zawiązały się, lecz okrzepnąć nie mogły. Skupieniu się polskiemu, albo inaczej, polańskiemu, sprzyjało położenie geograficzne. Polanie zamieszkiwali okolicę, położoną ani zanadto blisko, ani za zbyt daleko od zagrażającego niebezpieczeństwa; nie byli wystawieni na ciosy rdzenne; ciosy te atoli obijały się o nich, alarmowały ich, zagrażały im w przyszłości niedalekiej; ziemia ich służyła za schron naturalny dla wychodźców morawskich, czeskich, chrobackich, nadelbiańskich i zaodrzańskich, przynoszących myśl o potrzebie obrony i o sposobach skutecznego urządzenia takowej. Nie bez tego, ażeby z pomiędzy Polan nie wychodzili na wojny z Niemcami ochotnicy, którzy, pod rodzinną powracając strzechę, przynosili wraz z pojęciami nowemi widoki ambitne i zamiary osobiste. Oto przyczyny, które działając z północy, z zachodu i z południa, urabiały powoli skupienie się trzecie słowiańskie, czysto słowiańskie, mające wystąpić w dziejach pod nazwą Polski. Rozkład pracy Bartoszewicza sprawia, że skupienie się to samo niejako wychodzi z odmętu i staje jasno przed oczami czytelnika, oprowadzonego przez autora po całym obszarze sąsiedniej Słowiańszczyzny. Jasność mącą jeno nieco sympatje i antypatje autora, dzięki którym opowiadanie jego jest ustawicznym sądem faktów, i sądem nie zawsze bezstronnym. (Dok. nast.)

Kronika Tygodniowa.

Święta przeszły pogodnie i zdrowo w takim samym porządku jak wszystko przechodzi na świecie, prócz bezwładności organów wykonawczych szanownego magistratu lwowskiego, które od niejakiego czasu przybrały charakter zaciekłych konserwatystów. Nowa Rada już funkcjonuje, a dotąd nie ma nowych mioteł do uprzątnienia sławnego błota po ulicach. Ale już nie o takie błoto chodzi, tylko o oczyszczenie przynajmniej trotuarów i dajmy na to w rynku, któremi szanowny magistrat dwa razy na dzień chodzi do bióra; prosimy więc panów komisarzy, niech wezmą przemówienie nasze do serca i położą żelazną rękę swoją na ramionach tych obywateli, których stróże domowi przeznaczeni są do wszelkich innych robót gospodarskich, nawet do kołysania dzieci, prócz oczyszczania chodników. Zaiste trudno w jakiem bądź innem mieście znaleść podobny stosunek stróżów kamienicznych do właścicieli jak u nas we Lwowie. Za marne kilka reńskich pensji miesięcznej i pomieszczenie w piwnicy, lub tam, gdzieby już żadne stworzenie ludzkie żyć nie chciało — stróż taki, jego żona, jego dzieci, krewni i przyjaciele, są wyłącznie oddani na osobiste usługi pana domu, z wolnością pobierania haraczu od wracających po godzinie dziesiątej lokatorów. Gdy gdzieindziej loże odźwiernych mieszczą się tak, że on nie potrzebując ruszać się z miejsca, otwiera drzwi wchodzącym lokatorom, u nas potrzeba dobrze się nadzwonić i długo się nastać przed bramą, nim gdzieś tam z kąta dziedzińca lub z jakich lochów podziemnych wydostanie się biedna ofiara zaspana, na poły okryta, stękająca, kaszlająca, aby was wpuścić do własnego dobrze zapłaconego przybytku. Klucza od bramy, broń Boże, właściciel wam nie da, pod pozorem abyście tego zaufania nie nadużyli, gdy tymczasem idzie tylko o to, aby stróż mógł mieć z was dochód, a sam narażał się na choroby i zaziębienia, którym też trzy czwarte tych biedaków co rocznie ulega. Panowie gospodarze, czy to się godzi w ten sposób wyzyskiwać swoją pozycję dziś, w obec równości praw, w obec tak szumnie wygłaszanych frazesów o miłości bliźniego!

A propo miłości bliźniego, zasada ta wprowadzona w czyn przez kółko literackie we Lwowie, zaczyna budzić podziw i zazdrość prasy warszawskiej. Czytaliśmy w tych dniach gorące pochwały w jednem piśmie, że u nas taka panuje teraz zgoda i tolerancja między literatami i artystami, jakiej nigdzie nie ma, że przeszło sześćdziesiąt osób zajmujących wybitne stanowiska w piśmiennictwie, sztuce i naukach, konferuje z sobą ze zgodną podziwienia harmonją, zapomniawszy poprzednich antagonizmów i uraz osobistych, gdy przeciwnie tam, nad Wisłą, wszyscy się drą między sobą i walczą w organach swoich nawet o rzecz tak mizerną, jak o kapustę wysyłaną dla głodnych Szlązaków. Przyznajemy, że taka opinja o nas w Warszawie, napawa nas niezmierną dumą, i gdyby jeszcze szanowny Saturn krakowski raczył się trochę utemperować w swej koteryjnej odrębności — mielibyśmy tu raj literacki w Galicji.

Naprzykład „Tydzień“ nasz rok temu drukuje znane czytelnikom powieści Henryka Sienkiewicza: „Hania, Szkice Węglem“ i inne, które w oddzielnej odbitce wyszły na widok publiczny teraz w Warszawie. Recenzent „Czasu“ pisząc sprawozdanie o tej książce, powiada, że utwory tego utalentowanego autora dotąd u nas zupełnie nie były znane, zapewne tak samo jak nieznany jest nasz „Tydzień“ organowi konserwatystów krakowskich od lat siedmiu. Mniejsza o nas, jakoś żyjemy bez subwencji i pańskiego poparcia i da Bóg żyć będziemy — ależ czy godzi się tak nic nie wiedzieć i nie słyszeć co się koło nas dzieje?... To już wygląda więcej niż na konserwatyzm. Wprawdzie trafia się tego rodzaju poczciwa niewiadomość, często i w samym domu szanownego „Czasu“, że daje się łapać na zmiany tytułu niektórych powieści tłumaczonych i drukowanych gdzieindziej, które w lat parę powtarza w fejletonie swoim w najlepszej wierze, jakby zrobił nowe odkrycie, jak

to było z powieścią pod napisem „Dziennik młodej Angielki“ — ale żeby nie wiedzieć o Sienkiewiczu, którego prace drukuje już dawno „Gazeta Lwowska,“ to jest szczytem zacofania! Dla „Czasu“ od chwili śmierci Wielogłowskiego i Siemieńskiego, od czasu jak świeczka hr. Fredry zgasła, nie ma już w Polsce dowcipu, nie ma humoru, nie ma estetycznego smaku i talentów pisarskich — chyba, w kronikach niedzielnych swego pisma!

* * *

Nasza kolonja artystyczna się wzmaga. Osiedlił się we Lwowie pan Tadeusz Błotnicki i zaczyna się brać do nowej roboty, do wykonania w kamieniu posągu papieża według modelu zaprojektowanego przez siebie. Posąg ten, przedstawiający Piusa IX. w postawie siedzącej z uśmiechem charakterystycznym na ustach, ma ozdobić katedrę św. Jura. Rozbił u nas również namioty pan Grabiński, sympatyczny pejzażysta, były profesor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, i w pracowni swej przy ulicy stryjskiej kilka nowych kończy krajobrazów, a jak się dowiadujemy, otwiera z końcem przyszłego miesiąca w hotelu krakowskim pracownię chlubnie już znany rzeźbiarz pan Barącz. Lokal obszerny, który oglądaliśmy, wystarczy panu Barączowi na urządzenie osobnej wystawy dzieł własnych. Obecnie artysta zamierza wykonać w marmurze posąg Chrystusa, zjawiającego się uczniom po zmartwychwstaniu.

* * *

Uwieńczona pierwszą nagrodą konkursu krakowskiego komedja Bałuckiego „Krewniacy“, nie zdołała wzbudzić takiego zajęcia, jakiego się po niej spodziewano. Stanowczo musimy o niej powiedzieć, że się nie udała. Wiele w niej wprawdzie humoru rodzimego, wiele prawdy, ale to wszystko pospolite, w całem znaczeniu tego słowa. Ani jednej oryginalnej postaci, takiej, któraby mnóstwo innych dawniej ze sceny znanych, rażąco nie przypominała. Fabuła od początku do końca jest w ciągłem podobieństwie z „Naszymi najserdeczniejszymi“ Sardou. Wskutek tego nasuwają się bez przerwy porównania, które bynajmniej na korzyść p. Bałuckiego wyjść nie mogą. Widz i słuchacz inteligentny, podstawiając jako tło tylne komedję znakomitego autora francuskiego, widzi jak wielkie różnice co do formy i treści dzielą obie sztuki; ile tam elegancji, dobrego tonu, umiarkowania w efektach, delikatności w wykończeniu, a ile tu rubaszności i pospolitych, grubych efektów. Niesmaczne koncepta, obrachowane jakby naumyślnie dla górnych sfer teatru, tryskają jedne po drugich. Niektóre z nich, są po prostu niemożliwemi w dobrem towarzystwie, jak np. opowiadanie o „Kamieniu“ i skutkach, oraz o damie kameliowej. Dwuznacznik wypływający z użycia wyrazu „na“ w tym ostatnim wypadku jest niesmacznym w całem znaczeniu tego wyrazu i pospolitym tak dalece, że doprawdy nie znamy mu równego w polskich komedjach. Takie rzeczy znoszą się w kawalerskich pogadankach ale nie na scenie.

Komedję tę grano znakomicie. Pan Zamojski, (nie chcemy używać stereotypowego wyrażenia „stworzył nowy typ, tak...“) miał popisową rolę, z której zrobił wszystko co zrobić można było. Rola ta jakby dla niego pisana. Artysta ten doprowadził grę swą w rolach rubasznych mosterdziejów do takich wyżyn, że nie ma teraz sobie u nas równego. Nikt jak on nie grał Damazego i nikt nie da takiego Tarapatkiewicza. Bravo! Bravissimo!

* * *

Dnia 19. maja ma się odbyć przeniesienie popiołów dziejopisa Długosza z urny, do sarkofagu w krypcie Św. Stanisława na Skałce. Akademja krakowska pragnąc uczcić tę chwile, ma dnia tego odbyć swe doroczne posiedzenie. Do tej chwili ma być ukończone wydawnictwo wszystkich dzieł Długosza doprowadzone do końca przez Przeździeckich. Żeby jeszcze bardziej uświetnić tę uroczystość, Akademja zwołała na ten czas zjazd historyczny, mający na celu omówienie różnych kwestji naukowych w zakresie historycznym. Uczestnikami zjazdu będą członkowie Akademji Umiejętności krajowi i zagraniczni, członkowie kommisyj i ci wszyscy uczeni i miłośnicy rzeczy polskich, którzy będą o tem uwiadomieni.

„Umocnić się w obowiązku skrzętnej opieki nad spuścizną dziejów, rozbudzić w szerszych kołach jak najgorętsze tejże zamiłowanie, objąć za pomocą wspólnego porozumienia zadania najbliższe naukowej pracy około tej spuścizny, poruszyć strony jej zaniedbane a przecież pierwszorzędnej ważności, ogrzać się wspólnie przy tem ognisku domowem, którem jest dla każdego narodu miłość jego przeszłości, połączona z sumienną służbą prawdzie — oto czego się spodziewamy po zjeździe zamierzonym. W taki sposób stać się on może jednem więcej czynnem uczczeniem męża, którego pamięć święci w tym roku katedra krakowska, akademja i kraj, a który w obec najostrzejszej krytyki pozostanie zawsze chlubą Polski XV wieku a jednem z najznakomitszych zjawisk tego wieku na polu historjografii europejskiej.

Posiedzenia zjazdu odbywać się będą w najbliższych dniach po uroczystem posiedzeniu akademji d. 19., 20. i 21. maja, w salach akademickich przy ulicy Sławkowskiej, dostępnemi zaś będą publiczności za biletami bezpłatnemi wstępu, których liczba do objętości lokalu zastosowaną będzie. Ze zjazdem połączoną będzie wystawa materjału historycznego, od r. 1830, do dziejów polskich się odnoszącego, dostępna uczestnikom zjazdu.

Listy adresować należy do: Komitetu gospodarczego zjazdu historycznego imienia Długosza w Krakowie, na ręce dr. Józefa Szujskiego, sekretarza jeneralnego akademji umiejętności.“

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** W Poznaniu nakładem N. Kamieńskiego i sp. wydaną została książka stanowiąca dziś prawdziwą rzadkość „Zygmunt Krasiński.“ „Grób Rodziny Reichstalów. Powieść oryginalna z dziejów wojny 30letniej. 1880 r.“ Wydawca p. B. T. wyświadczył prawdziwą przysługę naszej publiczności składając jej do rąk niejako nowy utwór, bo rzeczywiście za taki prawie uważać go można, wśród młodego pokolenia. Jeżeli z zapałem rozchwytywano kartony pozostałe po wielkich malarzach, to niewątpliwie ciekawemi są i kartony poetyckie. Przyszły wieszcz zamierzając napisać tę powieść „miał zaledwie lat 15,“ to jest mało co był starszym niż Bajron w chwili tworzenia rzewnej elegji na widok byłego gniazda swojego. Im ważniejszy utwór, tem więcej przedstawia interesu dla czytelnika szukającego genezy talentu. Grób Rodziny Reichstalów podobno był drugim utworem Zyg. Krasińskiego.

*** W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego wyszło ciekawe z powodu swej specjalności pisemko p. t. „Mikołaj Rej z Nagłowic“ i „ks. Józef Wereszczyński“ (1880 str. 33). Zadaniem autora było zestawienie tych dziełek Wereszczyńskiego z żywotem Mikołaja Reja; w końcu autor podaje ten wywód, że Wereszczyński w swojej „Regule“ korzystał z Reja i w wielu innych dziełach swoich brał z niego całe ustępy. Pisemko to, jak autor zapowiada w tytule, stanowi ustęp z większej całości.

*** Wyszła z druku książeczka ludowa p. t. „Co Piotrek z Drobina widział nowego w Łowiczu?,“ przez p. Hip B. Tarczyńskiego.

Książeczka ta zajmuje się głównie wykazaniem korzyści, jakie z ustanowienia straży ogniowych ochotniczych płyną.

*** Zaszczytnie znany z literackich utworów Pr. Bronisław Grabowski, wydał 5. aktowy dramat „Królewicz Marko“, osnuty na podaniach południowo słowiańskich z XV. wieku. Autor przypisał go Strossmajerowi, biskupowi bośniackiemu i Sriemskiemu w Djakowar.

*** Przekład Mohorta na język niemiecki wyszedł świeżo w Krakowie, łącznie z tragedją Szujskiego, „Śmierć Władysława IV. Tłomaczenia dokonał b. profesor historji literatury niemieckiej w Uniwersytecie Jagiellońskim dr. T. Bratranek

*** Pan Trefowel przełożył na język rosyjski poemat Syrokomli „Spowiedź Korsaka“ drukujący się w Petersburgskiem piśmie, Ruskoje Bogatstwo

*** Pojawiło sie drukiem dzieło księdza Dupanloup „(La femme studieuse), „O wykształceniu kobiety„, spolszczone przez ks. Zygmunta Chełmickiego, autora rzeczy „O obowiązkach rodziców.“

*** P. Stanisław Grabowski, znany czciciel starożytności, przełożył wierszem miarowym tragedję Eurypidesa „Medea.“

*** Bibljoteka Warszawska w Zeszycie za m. Marzec zawiera: 1. Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1798 — 1813, przez Kajetana Krasewskiego 2. Dawid Hilchen, szkic biograficzny, na tle dziejów inflancko-polskich osnuty. przez Stanisława Leliwę. 3. Przegląd literatury belletrystycznej za rok 1879, przez Walerję Marrené. 4. Przywilej żydowski Bolesława i jego potwierdzenia, przez R.... 5. Cnota i występek, rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. 6. Pieśni Bulgarów macedońskich w Rodopie zebrane przez Stefana Werhowicza, przez Bronisława Grabowskiego. 7. Kronika Lwowska przez Zawadzkiego. 8. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego 9. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. 10. Sprostowanie.

*** Gazeta rolnicza w Nr 13. z r. b. zawiera: 1. Towarzystwo ruchomego kredytu Ziemskiego przez H. Wiercińskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskim przez dra Juljusza Au. 3. Nowy sposób tępienia kanianki przez K. Langie. 4. Budowa stajen z zastosowaniem do manipulacji nawozowej, zestawił M. Zajączkowski. 5. Listy o owczarstwie przez Wacława Łuszczewskiego. 6. Listy z Ameryki przez A. S. 7. Przegląd polityczny 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: „Woły robocze“ szkice Autora Kłopotów starego komendanta.

Sztuki piękne.

*** Nieznany obraz Matejki będzie wkrótce wystawiony na widok publiczny w Sukiennicach. Jest to dawniejsza praca i zupełnie odmienna od innych dzieł artysty: przedmiot bowiem nie sięga w odległe czasy, ale przedstawia pełną grozy scenę z r. 1863, na ten sam temat, który kilkakrotnie natchnął Grotgera. Obraz ten, dość znacznych rozmiarów, podobno niewykończony zupełnie, jest własnością ks. Wł. Czartoryskiego. Właściciel wystawia go na widok publiczny, przeznaczając dochód na t. zw. internat dla kandydatów stanu nauczycielskiego.

Również inny szkic Matejki, także nieznany, a będący własnością p. Dyonizego Skrzyńskiego, ma się ukazać na ten sam cel w Sukiennicach. W szkicu tym Matejko przedstawił jeden z najważniejszych ustępów Zygmunta Krasińskiego, na którym kończy się „Psalm dobrej woli“. W obłokach wznosi się postać Matki Boskiej z dwoma kielichami w rękach, obu pełnemi krwi. Co Krasiński wyspiewał w psalmie, to Matejko ukazał w obrazie, po raz pierwszy wstąpiwszy na pole malarstwa religijnego.

⁂ Donoszą z Rzymu, że Siemiradzki wykończa obecnie wiele rozpoczętych kompozycji. Do większych z nich należą: „Korsarz“, olbrzymie płótno, które artysta ma posłać na wystawę w Melbourne w Australji. Z mniejszych rzeczy odznacza się: „Wróżbita egipski“, którego szkic piórkowy przeznaczył Siemiradzki do zbiorowego pisma: „Dla głodnych“. Nadto, pracuje obecnie nad obrazem: „Dzieci, uganiające się za motylem“, i zamierza wykonać pendant do „Świeczników chrześcjańśtwa“.

⁂ Wysoce ceniony w świecie artystycznym rzeźbiarz Wolański, wykończył w Rzymie biust Siemiradzkiego, który ma być wystawiony na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie. Prócz tego wykonał płaskorzeźbę p. t. „Kalina“ i posąg „Gladiatora“, który ma być przepysznym typem Słowianina.

⁂ Towarzystwo sztuk pięknych w Pradze urządza wystawę obrazów od dnia 15. kwietnia do 15. czerwca.

O łaskawy udział w tej wystawie uprasza artystów naszych Towarzystwo czeskie za pośrednictwem warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Termin nadsyłania obrazów na rzeczoną wystawę upływa w dniu 1. kwietnia.

⁂ Na wystawie warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych umieszczone zostały w ciągu ostatnich dwóch tygodni następujące obrazy:

Emilji Dukszyńskiej „Portret pastelowy chłopczyka“, Edwarda Komara „Lisowczyk“, Wilhelma Kotarbińskiego „Wskrzeszenie syna wdowy“, tudzież „Powrót z Golgoty“, Ludwika Kurelli „Chrzciny“, Edwarda Lövy'ego „Cyganeczka“ (akwarella), Włodzimierza Łosia „Spotkanie“, tudzież „Co słychać?“, Karola Millera 1) „Pomnik Hozjusza w bazylice Santa Marja di Transtevera“; w nawie u dołu freski Zucheri, 2) „Pomnik Jana Chrzciciela Cislenusa, rzymianina, nadwornego malarza i budowniczego królów Zygmunta III., Władysława IV. i Jana Kazimierza, znajdujący się w Świątyni Santa Marja del Popolo, zbudowany na grobowcu Nerona“; Kazimierza Mireckiego „Powrót zwycięzcy“, Jana Owidzkiego: „Karczma w lesie“, Nadziei Pane „Brzeg Pauzalippy w Neapolu“.

⁂ Londyńska królewska akademja sztuk pięknych zamierza wkrótce ogłosić zupełny katalog wszystkich w różnych czasach wystawionych w jej gmachu starych obrazów i innych dzieł sztuki.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Twórca muzeum Kopernika w Rzymie dr. Artur Wołyński, donosi, iż według wiadomości pomieszczonej w półurzędowym dzienniku „Diritto“ z 12 z. m. Dr. Sonatis, minister spraw wewnętrznych wyasygnował na urządzenie tegoż muzeum 12.000 lirów, i że stosowne roboty wkrótce już rozpocząć się mają.

⁂ W katedrze na Wawelu ukończona została restauracja kaplicy Batorego, prowadzona od lat trzech pod kierunkiem budowniczego dra Żebrowskiego.

⁂ Towarzystwo naukowej pomocy dla ks. Cieszyńskiego, którego celem jest wspieranie szlązkiej ubogiej młodzieży w średnich i wyższych zakładach naukowych, ogłosiło drukiem sprawozdanie z siódmego roku swego działania 1878/9. Ze sprawozdania tego podajemy niektóre cyfry:

Członków wieczystych ma Towarzystwo 51. Członków zwyczajnych na Szlązku 248, w Galicji 243, w innych krajach 17,—razem członków 559. Całkowity majątek Towarzystwa wynosił w d. 30 Września 1879 r. zdr. 4977. Dyrekcja Towarzystwa zaznacza, że do wspierania celów Towarzystwa znakomicie przyczynia się miasto Lwów jak wykazuje liczba członków lwowskich, których jest blizko 100. W końcu dyrekcja zawiadamia, że delegatem Towarzystwa dla m. Lwowa, jest obecnie p. „Hilary Jaworowski,“ urzędnik w Towarzystwie Zaliczkowem.

⁂ Dziennik „Voltaire“ donosi, iż we Francji postanowione zostało zamknięcie jezuickich zakładów wychowawczych i rozwiązanie nowicjatu jezuitów.

⁂ Dzienniki tuniskie donoszą, iż jezuici nabyli grunta w oazie Gadamès, położonej o 400 mil od Tripoli, dla założenia tam kolegjum i misji.

⁂ Szkoła praktyczna gospodarstwa wiejskiego dla kobiet zostanie założona z pewnością w Kongresówce.

Nowy ten zakład znajdować się będzie w powiecie sochaczewskim, gdzie urządzoną być ma odpowiednia ferma.

⁂ W państwowej fabryce porcelany w Sevres zapodziało się kilka bardzo cennych przedmiotów sztuki, między temi korona z miękkiej ziemi, arcydzieło ostatniego stulecia, wartujące przeszło 100,000 franków.

⁂ W Berlinie w dniu 21. września zbierze się kongres ekonomistów niemieckich; obrady trwać będą cztery dni.

⁂ W Wiedniu w dniu 1. maja nastąpi odsłonięcie pomnika Beethowena.

⁂ W Rzymie w kwietniu odsłonięty zostanie pomnik wystawiony ku czci kompozytora P. Luigi da Palestrina. Na uroczystość tę przybędzie z Neapolu Ryszard Wagner. W tym czasie w teatrze Apollo dany będzie „Lohengrin“ Wagnera.

⁂ Na wystawę bydgoską z 93 miast i osad trzech prowincji: Wielkiego Księztwa poznańskiego, Prus Wschodnich i Zachodnich zgłosiło się dotąd przeszło 600 wystawców, którzy zajmą przestrzeń przeszło 6,0000 metrów kwadratowych. Główny budynek wystawowy jest już cały zajęty, skutkiem czego dobudowany zostanie dość obszerny pawilon. Wystawa niemało zyska na tem, że zapowiedziano dość wiele kunsztownych wyrobów z piaskowca i marmuru, rozmaite blacharskie wyroby i ornamenta do budynków. Znaczną przestrzeń zajmą maszyny parowe, motory, maszyny rolnicze; aparaty, sprzęty, i środki transportowe; wystawione będą także drukarnie, prasy drukarskie, wielki wybór powozów i karet, lokomobil, a nawet model okrętu śrubowego. Z samemi maszynami zgłosiło się 76 wystawców, którzy zajmą 2,000 metrów. Fabrykantów fortepianów zgłosiło się 10, muzycznych instrumentów 5 firm, zakładów fotograficznych 10, sztuki drukarskiej 9 firm. Wystawione także będą instrumenta i aparaty chirurgiczne, ortopedyczne i fizyczne i t. p. Wreszcie mechanik p Foerster z Poznania wystawi model kolei żelaznej poruszanej elektrycznością. Roboty murarskie i snycerskie znajdą się także w licznym wyborze.

⁂ W Wiesbadenie od dnia 3. do 8. lipca odbywać się będzie międzynarodowy kongres szachistów; zgłoszenia przyjmuje zarząd zakładu do 15. czerwca.

⁂ Przyjmowanie prywatnych depesz otwarte zostało na stacjach kolei bendero-galackiej: Bender, Kauszany, Saim, Kainary, Słotij, Skinozy, Czadyr-Lunga, Kasajakleja, Trojan-Wall, Wołkomeszti, Cizme i Reni.

⁂ „Bukaresztska“ gazeta urzędowa ogłasza dekret, mocą którego wszyscy cudzoziemcy, podróżujący po Rumunji, albo też zatrzymujący się w niej dłużej niż przez dni 30, winni się zgłosić do władz policyjnych o kartę pobytu. Karta pobytu wydana im zostanie w miejsce paszportu, który pozostanie w policji. Po upływie trzydziestu dni od czasu ogłoszenia tego dekretu, każdy cudzoziemiec, nie posiadający karty pobytu, winien opuścić kraj.

Handel i przemysł.

⁂ Podajemy niektóre dane statystyczne, dotyczące przemysłu w królestwie Polskiem, które bezwątpienia na najwyższą uwagę zasługują.

Nie ulega kwestji; że gospodarstwo przemysłowe w królestwie, do niedawna jeszcze szwankowało mocno, że i teraz bezporównania stoi niżej od produkcji europajskiej, postęp wszakże jest widoczny, i dlatego kwestją ważną i ciekawą jest, o ile przemysł tam idzie naprzód i w jakim kierunku się rozwija.

W roku 1878 w królestwie Polskiem fabryk było 18,222, produkujących za zł. 192,802,305 i zatrudniających 101,125 ludzi. Produkcja ta rosła od roku 1845 w następujący sposób:

W roku	1845 wynosiła złr.	24,000,000
„	1857 „ „	63,000,000
„	1864 „ „	75,000,000
„	1866 „ „	78,000,000
„	1870 „ „	96,000,000
„	1874 „ „	138,000,000
„	1876 „ „	147,000,000
„	1878 „ „	192,000,000

Spostrzegamy więc fakt wielce pocieszający, to jest ciągły, ostatniemi czasy niezmiernie szybki wzrost przemysłu w królestwie.

Najpotężniejszy rozwoj przypada na ostatnie lata, bo przez lat ośm, produkcja wzrosła o 100%.

Czy podstawy tego rozwoju są trwałe i pewne, przesądzać nie można; zdaje się wszakże, że długo on jeszcze trwać będzie, jeśli się tylko nie zmienią warunki.

Przechodząc do szczegółów, to pośród gałęzi przemysłu przoduje tkactwo, którego produkcja wynosiła w roku 1878 przeszło 65,000,000 złr. Za tkactwem idzie gorzelnictwo, wraz z wyrobem wódek — około 30,000,000 złr.; — młynarstwo 14,000,000 złr., cukrownictwo 11,000,000 złr., wyrób maszyn rolniczych około 8,000,000 zł, potem garbarstwo, piwowarstwo itp.

Odkrycia i wynalazki.

⁂ Z Aten donoszą telegraficznie, iż poszukiwania uskutecznione na dawniejszem pomieszczeniu Olympji, wykryły fundamenta ołtarza Jowisza; również odgrzebano głowę Augusta i część posągu Nike z Paionios.

⁂ W ostatnich dniach marca, na drodze żelaznej nadwiślańskiej, pomiędzy stacjami Pelcowizna i Jabłonna, w specjalnym dyrektorskim pociągu, wobec dyrektora i wielu urzędników tejże drogi, oraz inżynierów i zaproszonych osób, odbywały się próby z elektryczną sygnalizacją pociągową pomysłu inżyniera p. Teodora Balukiewicza.

System sygnalizacji pociągowej wynalazku p. Balukiewicza ma tę niezaprzeczoną wyższość nad dotychczasowym sposobem sygnalizowania, że dając pasażerom wszelką łatwość zaalarmowania w razie potrzeby maszynistów lub służby konduktorskiej, działa przytem automatycznie w razie rozerwania pociągu, przy wejściu na stację.

Działać może nadto w każdem miejscu drogi przez izolowanie relsów — to ostatnie doświadczenie nie mogło być onegdaj dokładnie zrobione, z powodu, że relsy nie były należycie izolowane.

Zresztą zaś przyrząd funkcjonował wybornie i doprowadził obecnych do przekonania, że system p. Balukiewicza ma wielką przyszłość przed sobą i że powinien wkrótce stanowczo usunąć z użycia dotychczasowe linki sygnałowe, nie zapewniające dostatecznego bezpieczeństwa.

W tych dniach także p. Balukiewicz wydał broszurkę opisującą tak przyrząd sygnałowy, jako też i przyrząd automatycznie kontrolujący bieg pociągów.

Ten ostatni niezawodnie wprowadzonym będzie na wszystkich ważniejszych linjach kolejowych, zastosowanie go bowiem uniemożebnia prawie wypadki spotykania się w biegu pociągów, zdarzające się zwykle tylko skutkiem nieuwagi służby, lub mylnego nastawienia zwrotnic.

Podróże.

⁂ Komandor floty wojskowej angielskiej, John Chean, przedstawił w tych dniach członkom królewskiego instytutu artylerji w Woolwich projekt swój nowej podróży do bieguna północnego w celu zbadania go naukowego.

Użyte być mają w tym celu parostatki, sanie i balony.

Nadmienić trzeba, że projekt komandora nie należy wcale do abstrakcyjnych fantazji, lecz brany jest zupełnie poważnie, ma nawet śród ogółu poparcie.

Między innemi lord Derby i sześciu członków parlamentu, w tej liczbie sir Charles Dilke i doktor

Kameron, utworzyli komitet dla urzeczywistnienia tego projektu.

Decyzja powziętą zostanie na zebraniu, na którem przewodniczyć będzie lord-major Londynu.

Jeżeli komitet zdoła zebrać 30,000 funtów szterlingów na pokrycie wydatków ekspedycji, zostanie ona wyprawioną już w czerwcu r. b.

Rząd ma oddać do rozporządzenia wyprawy statek prowiantowy „Discovery".

Z ekspedycją udaje się także grono myśliwych, celem podróży którego będzie jedna z zatok podbiegunowych.

Komandor Chean zamierza zimować pod możliwie wysokiemi stopniami szerokości jeograficznej.

Podróżni przesiądą się na sanie w końcu marca roku 1881.

Jak tylko sanie napotkają przeszkody, trzeba się będzie uciec do balonów.

Podróżni wsiądą na nie zapewne w czerwcu 1881 roku, kiedy w podbiegunowych krajach słońce świeci w dzień i w noc.

Balony będą najpierw nadęte parą, a później napełnione zgęszczonym wodorem.

Podróżni posiadać mają trzy balony, z których każdy uniesie ciężar jednej lub półtorej tonny.

Na balony wsiądzie 7 osób, i wzięty zostanie zapas żywności na 51 dni.

Spodziewają się jednak, że podróż balonami do bieguna północnego trwać będzie tylko 30 do 40 godzin (?).

U bieguna podróżni przepędzą w celu badań naukowych cały tydzień i wtenczas jeden balon wyszlą (?) do Petersburga, dla przesłania ztąd wiadomości o rezultacie wyprawy.

Obliczają, że wiadomość w ten sposób dojść może do Londynu w trzy dni..

Podczas podróży balonem do bieguna, zdejmowane będą widoki fotograficzne okolic podbiegunowych.

Przestrzeń, którą przejść mają balony do bieguna, obliczają na 500 mil angielskich.

Pierwotnie pomiędzy jednym z balonów a pozostałym statkiem parowym chciano zaprowadzić komunikację telegraficzną za pomocą cienkiego druta, rozwijającego się w miarę oddalania się balonu, po bliższem jednak zbadaniu uznano to za niemożliwe.

Taki jest projekt nowej, bezwątpienia oryginalnej podróży do bieguna...

O ile projekt ten da się urzeczywistnić — sądzić obecnie trudno, to jednak pewna, iż rzecz nastręcza trudności potężne, prawie że nieprzełamane.

Bądź co bądź, pomnąc na olbrzymie zyski, jakieby otrzymała nauka w razie udania się tej zuchwałej ekspedycji, życzyć należy powodzenia śmiałym jej inicjatorom. .

Statystyka.

* * Wiek dziewiętnasty słusznie może się nazwać wiekiem królobójczym. W żadnym innym, nie zdetronizowano lub wygnano tylu królów, i w żadnym nie było tyle zamachów na życia monarsze lub osoby piastujące najwyższą godność w państwie.

Oto litanja:

24 grudnia 1800 r., a zatem w zaraniu wieku naszego, zamach Arenny'a i Cherachi'ego na życie pierwszego konsula Bonapartego w Paryżu (machina piekielna).

W lutym 1804. tamże: Spisek słynnego rojalisty Georges'a Cadoudala na życie tegoż konsula.

13. października 1804. Zamach studenta niemieckiego Stabsa na Napoleona I. w Schönbrunie pod Wiedniem.

9. sierpnia 1832, w Badenie, zamach Reindla na życie króla Ferdynanda węgierskiego.

28. lipca 1835. w Paryżu, Fieschi usiłuje zgładzić króla Ludwika Filipa (machina piekielna).

Pięć innych zamachów na tegoż króla: żołnierza Alibeau (25. czerwca 1836 r.), subjekta Méniera (27. grudnia 1836 r.); wyrobnika Dormes'a (15. października 1840 r.); leśnika Lecomte'a (16. kwietnia 1846 r.), i fabrykanta Henziégo (29. lipca 1846 r.)

Dwa zamachy na życie królowej Wiktorji angielskiej: kelner Oxford (10. czerwca 1840 r.) i czeladnik ciesielski Francis (20. maja 1842 r.).

28. lipca 1844 r. Burmistrz Tischech godzi na życie pruskiego króla Fryderyka Wilhelma IV.

12. lipca 1849 r. Zamach na teraźniejszego cesarza Niemiec w Hader-Ingelhejmie.

22. maja 1850 r. Zamach w Wetzlarze fejerwerkera artylerji Seeronope na życie pruskiego Fryderyka Wilhelma IV.

2. lutego 1852 r. Marcin Marinos rani puginałem królowę Izabellę hiszpańską. w madryckiej katedrze atochskiej.

18 lutego 1852 r. Krawiec Libeni w Wiedniu rani puginałem cesarza Franciszka Józefa I.

Dwa zamachy na Napoleona III. w 1852 i 1853 r. (5. lipca.)

27. marca 1853 r. Zamach na Karola III, księcia Parmy.

Dwa zamachy 27. kwietnia — Pianorego. i 8. września 1855 r. — Bellamarego, na życie Napoleona III.

28. maja 1856 r. powtórny zamach na królowę Izabelę.

8. grudnia 1856 r. Żołnierz Adgesilla Milano usiłuje zabić króla neapolitańskiego.

14. stycznia 1858 r. Orsini w Paryżu czyni to samo względem Napoleona III. (bomby pistonowe).

14. lipca 1861 r. Zamach Bekkera na życie cesarza Wilhelma, gdy był jeszcze królem pruskim.

14. kwietnia 1865 r. Prezydent Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej Lincoln, zamordowany w teatrze waszyngtońskim.

16. kwietnia 1866. r. Karakozow w Petersburgu pali z pistoletu do cara Aleksandra II. spacerującego wzdłuż Newy około ogrodu „letniego."

6. czerwca 1867. Zamach Berezowskiego w Paryżu na cara Aleksandra II., odszczególniający się tem, że sprawca sam go ułożył i sam wykonał, nie przypuściwszy do tajemnicy literalnie nikogo.

W czerwcu 1868 r. Michał Obrenowicz książe serbski zamordowany na spacerze w belgradzkim ogrodzie.

1869 r. Zamach na życie kedywa egipskiego.

5. sierpnia 1875 r. Gabrjel Garcja Morecos, prezydent rzeczypospolitej Ekwatorskiej, ginie zamordowany z pobudek politycznych.

21. kwietnia 1975 r. Dalomej, prezydent rzeczypospolitej Paragwajskiej. zamordowany.

W roku 1878 dwa zamachy berlińskie na życie cesarza Wilhelma; pierwszy, 4. maja — krawca Hödla, drugi, 2. czerwca — dra Nobilinga.

W tymże samym 1878 roku dwa inne zamachy: Moncassi 25. października strzela do hiszpańskiego króla Alfonsa XII., a d. 17. listopada Passamente w Rzymie z puginałem w ręku uderza na Humberta włoskiego.

14. kwietnia 1879 r. Sołowjew daje trzy wystrzały do Aleksandra II. w Petersburgu. Paletot carski podziurawiony.

1. Grudnia 1879 r. Hartman wysadza w powietrze pociąg w Moskwie, ale car zmylił pogonie, przesiadłszy się do innego pociągu.

30. grudnia 1879 r. Otero w Madrycie strzela do króla Alfonsa, powracającego z żoną że spaceru.

17. lutego 1880 r. Zamach najzuchwalszy ze wszystkich znanych, a mianowicie wysadzenie w powietrze za pomocą dynamitu sali jadalnej w Zamku Zimowym, w chwili, gdy car miał zasiąść do stołu.

Ogółem 40 zamachów, nie licząc nożyc sułtana Abdul-Azisa, oraz wypadków, które w niniejszym spisie mogą być opuszczone.

JOHN CHIŃCZYK W NEW-YORKU.

przez

MARKA-TWAIN'A.

Przechodząc około jednego z owych kolosalnych amerykańskich sklepów herbaty, zobaczyłem tam Chińczyka, który pełnił funkcje szyldu sklepowego, siedząc w kuczki na piętach. Wszyscy, co przechodzili koło sklepu, oglądali się ustawicznie tak długo, dokąd obracanie głowy nie zagrażało skręceniem karku; a cała grupa stanęła, aby staranniej mu się przypatrzeć.

Czyż to nie hańba, iż my, co gadamy tak wiele o cywilizacji i humanitarności, nie zastanowimy się nad tem, że poniżamy bliźniego takim rodzajem służby? Czy nie wielki czas pomyśleć w takim razie o tem, że w takiej istocie widzimy przedmiot płochej ciekawości, a nie indywiduum godne pożałowania i poważnego zastanowienia?

Siedziało sobie biedne stworzenie, wygnane przez srogie losy ze swojej ojczyzny. Zła jego dola powinna była wzruszyć tych próżnujących przechodniów, którzy go otaczali. Ale czy w istocie wzruszała? — Widocznie, że nie. — Ludzie, którzy się mianują wyższą rasą, rasą kultury i szlachetnej krwi, dotykali się do dziwnego chińskiego kapelusza jego ze spiczastą główką i gałką na wierzchu, do długiego warkocza, który mu spadał na plecy, do krótkiej niebieskiej bluzy ze szczególniejszemi kutasami i figurami, która, jak i reszta jego ubrania była niezgrabna, znoszona i w dziwny sposób na około ramion obwisła: — dotykali się do jego obcisłych bawełnianych niebieskich spodni, które były mocno przywiązane około kostek; trącali jego trzewiki grube z tęgiemi korkowemi podeszwami; a potem, kiedy go tak od stóp do głów obejrzeli, wyrywały się im nieprzystojne żarty z jego cudzoziemskiego ubioru, lub posępnie zadumanej twarzy. — I szli swoją drogą..

W sercu mojem obudziła się litość dla pozbawionego przyjaciół mongoła. Zadałem sobie pytanie, jaką myśl wyrażają te smutne rysy twarzy, i o jakich dalekich krainach marzą jego oczy w przestrzeń błędnie utkwione? Czy myśl jego odbiegła wraz z sercem o dziesięć tysięcy mil, na tamtą stronę wodnej pustyni Cichego oceanu? — i przebywa teraz wśród pól ryżowych pod pierzastemi palmami Chin? — albo też w cieniu drogich mu szczytów gór, albo w gajach kwitnących krzewów i rzadkich drzew leśnych, jakich nie zna klimat Północnej Ameryki? — I czy nie słyszy on od czasu do czasu, budząc się ze swego marzenia i rojeń, dobrze znanego śmiechu i nawpół zapomnianych głosów, i czy mu nie staje w oczach zachowany w pamięci widok twarzy przyjaciela z dni minionych? — ... Surowy los, mówiłem do siebie, przypadł na dolę tego wędrowca o brązowej cerze...

Ponieważ nędzny ubior i smutne wygnanie biednego człowieka nie wywierały najmniejszego wpływu na spacerujących próżniaków, więc chciałem, aby wzruszyły ich przynajmniej jego własne słowa; w tym celu dotknąłem zlekka jego ramienia, mówiąc:

— Bądź wesół, nie patrz tak przygnębionym wzrokiem. Nie Ameryka postępuje z tobą w podobny sposób: czyni to tylko burżuazja, której chciwość wydarła z serca uczucie ludzkości. Ameryka jest wspaniałomyślną, gościnną dla wygnańców i uciśnionych.

Ameryka i Amerykanie zawsze są gotowi dopomódz nieszczęśliwym. Powinny być zebrane pieniądze, a tyś powinien wrócić do Chin i zobaczyć znowu swych przyjaciół. Jakąż płacę pobierasz tutaj?

— Ani złamanego szeląga oprócz czterech dolarów na tydzień, a za te pieniądze muszę się także stołować; ale robota łatwa; dokucza mi tylko cudzoziemskie ubranie, które tak drogo kosztuje!

Wygnaniec Chińczyk jest jeszcze zawsze na swojem stanowisku — a newyorskim handlarzom herbaty, którzy potrzebują malowniczych szyldów, nie prędko jeszcze zabraknie Chińczyków.

Treść Nr. 14. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.